W następnym numerze: Konkurs „Czytelnika" i nagroda „Wsi"

Stron 12 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. Cena 20 zł.

Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok V Łódź, 14 marca 1948 r. Nr 11 (140)

W NUMERZE między innymi:

Jakub Litwin

Z WOJNY — W DEMOKRACJĘ LUDOWĄ *)

Lampe pisał w czasie wojny. Gdy kreślił wspaniałą myśl: „Od 150 lat stoi przed Polską zagadnienie, jak być współczesnym krajem. Rozwiązanie wczorajszego dnia nie odpowiada dzisiejszemu.... Misją naszego pokolenia jest uwspółcześnienie Polski" — nie istniała ani Polska, ani stara Europa, której Polska była członem.

Tocząca się z faszyzmem wojna, która nie tylko wytyczyła dalszą drogę rozwoju społecznego, ale równocześnie odcięła powrót do czasów minionych, była walką narodów w obronie swego życia i istnienia.

„Po raz pierwszy w dziejach wolne narody, bez zastrzeżeń, powszechnie uznały wojnę, która się toczy, za swoją wojnę. Wbrew temu co było podczas wojny poprzedniej, kiedy przywódcy państw i armii przynaglali i popędzali narody do wysiłków wojennych — podczas tej wojny niema w głębiach mas ludowych wielkiej demokratycznej koalicji oporów antywojennych. Przeciwnie, narody same prą do bezwzględnej wojny z hitleryzmem, i przynaglają kierowników państw i armii do jaknajśmielszych, do jak najbardziej stanowczych działań przeciw potworowi hitlerowskiego imperializmu". (str. 48).

Kompleks Europy burżuazyjnej, zrodzony przez Wielką Rewolucję Francuską, o której pisał Victor Considerant: „Nasze społeczeństwo jest demokratyczne w formie, arystokratyczne — w zasadzie" — konał powoli od czasów pierwszej wojny światowej nie tylko dlatego, że nie można było go bronić, ile raczej dlatego, że nikt nie chciał go bronić. „Żyłem w koszmarze od 1931 roku — pisał wówczas K. Zilliacus — i żyję w nim dziś jeszcze". A Lloyd George w **tajnym memoriale** przedłożonym konferencji „Wielkiej czwórki" w 1919 roku mówi: „Cały istniejący dotąd porządek w jego politycznym, społecznym i gospodarczym ujęciu jest przez masy kwestionowany — od jednego krańca Europy do drugiego... Większa część tych niepokojów jest zdrowa".

Wojna światowa wykazała naocznie niezdolność burżuazji sprawowania nadal pokojowej władzy nad narodami.

Wówczas to zrodziła się w umysłach przywódców klas pracujących, w różnych krańcach Europy, koncepcja nowych form ustrojowych i nowych metod walki o wyzwolenie klasowe i narodowe.

„Narodowy front walki wyzwoleńczej — pisze Lampe — jest nakazem historii. Ten front będzie naprawdę skuteczny i najbardziej skuteczny, kiedy się w nim skupią wszystkie bez wyjątku odłamy i kierunki szczerze i uczciwie walczące o wyzwolenie Polski, o jej wolność i niepodległość, kiedy wszystkie będą miały głos w decydowaniu o losach narodu." (str. 25) Lampe — marksista, zasłużony działacz robotniczy — przełamuje nie tylko stare, zaśniedziałe, sekciarskie nawyki przedwojennych partii robotniczych — ale pierwszy — jasno i otwarcie — stawia problem antyimperialistycznego frontu narodowego.

Rządy faszystowskie godzą nie tylko w poszczególną klasę. Grożą istnieniu wszystkich — katolików i ateistów, umiarkowanych i radykałów — są groźbą dla całego narodu.

„To zagrożenie wymaga skupienia sił całego narodu, w pierwszej linii robotników, którzy od półwieku kroczą w awangardzie walki wyzwoleńczej, chłopów, stanowiących masę pracującej ludności, inteligencji, która musi znaleźć swe miejsce w szeregach ludu". (str. 25).

Słusznie też stwierdza prof. Trainin, że głównym źródłem powstania demokracji ludowej jest antyfaszystowska, antyimperialistyczna, narodowo-wyzwoleńcza i społeczna postawa najszerszych mas narodu.

Koncepcja demokratycznego frontu narodowego wychodzi z założenia, że kapitalizm jest równie groźny dla klas nieposiadających jak i pośrednich, drobnomieszczańskich. Że kapitalizm dzięki postępującej koncentracji środków produkcji i kapitału, nie tylko zaostrza przeciwieństwa między klasą robotniczą i burżuazją — ale, jak to wykazuje przykład Niemiec i Stanów Zjednoczonych — wyzuwa z własności również drobnych posiadaczy.

Wojna, jaką toczyły narody z faszyzmem,



Alfred Lampe

zaostrzyła znacznie przeciwieństwa, narastające już w okresie pokoju. Zawierucha wojenna była cesarskim cięciem, z którego powstanie nowa epoka. Z tej wojny musi się narodzić nowa Europa i nowy naród polski.

Lampe toczy ostrą walkę przeciw tym wszystkim, którzy starają się stępić ostrze walki narodowej i odwrócić tok rozwoju historycznego.

„Grabarze demokracji w Polsce byli grabarzami wolności i niepodległości. Bojownicy demokracji byli i są bojownikami o wolność i demokrację. Grabarze demokracji w Europie byli grabarzami niepodległości państwowej Polski. Bojownicy demokracji europejskiej byli sprzymierzeńcami i towarzyszami broni niepodległościowców polskich".

Polska, która się odrodzi z hekatomby wojennej nie może i nie powinna być podobną do Polski, która zginęła we wrześniu 1939 roku. Tamta była zacofana i niedorozwinięta gospodarczo. A ci którzy nią rządzili nie starali się jej uprzemysłowić.

Wrzodem na ciele narodu jeszcze od XVIII wieku była kwestia chłopska. Z jednej strony istniały wielkie latyfundia magnackie, z drugiej — panował głód ziemi.

Lampe stawia postulat niezbędnych reform gospodarczych i społecznych — zrealizowanych już dziś przez obóz demokratyczny.

„Kiedy wyjdziemy z pożogi wojennej, przed odrodzonym narodem stanie zadanie budowania zrębów swej państwowości na nowo, na fundamentach, które ugruntują naszą wolność i niepodległość, tym razem już na wieki.

Uczynić to może tylko demokracja polska". (str. 129).

Lampe dokonuje ostrej analizy polskiej przeszłości historycznej. Wszelkie dotychczasowe klęski miały za powód niedostateczną demokratyczność instancji kierowniczych i samego ruchu.

„Polska demokratyczna nie pozwoli sobie na powtórzenie błędów polityki z okresu między listopadem 1918 r. a wrześniem 1939 r., nie będzie spekulowała na grze obcych imperializmów, i nie będzie balansowała na przeciwieństwach między wielkimi mocarstwami, nie oprze swego bytu na chwiejnej równowadze sprzecznych sił w Europie". (str. 130).

Lampe stawia jasno i otwarcie sprawę współpracy z państwami demokratycznymi a w pierwszym rzędzie ze Związkiem Radzieckim — zarazem stwierdza konieczność nowego układu granic Polski.

„Nasza granica zachodnia, nasza pozycja nad Bałtykiem z września 1939 r., powinna być zmieniona na naszą korzyść, na korzyść pokoju ogólno-europejskiego". (str. 130).

Z pasją pisarską i namiętnością walczy Lampe przeciw tym, którzy powstrzymać chcieli rozwój historyczny narodu polskiego. Stawia wyraźnie problem, że Polsce po wojnie potrzeba długotrwałego pokoju i wytężonej pracy. Burżuazyjno - kapitalistyczne otoczenie Europy międzywojennej nie mogło zapewnić pokoju a klasy rządzące Polską wzmagały napięcie i chaos.

By zapewnić sobie suwerenność i pokojowe warunki bytu — Polska musi nie tylko ugruntować u siebie demokrację — musi również zapewnić sobie pomoc i współpracę demokratycznych sąsiadów i sojuszników. Frazesem i fantasmagorią były sanacyjne slogany o Polsce mocarstwowej od morza do morza, które w rezultacie przyczyniły się do izolacji i osamotnienia — a w konsekwencji ostatecznej do klęski. Polska nie może istnieć ani jako państwo imperialistyczne, ani w otoczeniu imperialistycznym.

Odrodzona Polska w nowym układzie sił w Europie będzie nie zarzewiem wojny i igraszką w obcych rękach — ale państwem które innym służyć będzie za wzór nowego typu demokracji i walki o suwerenność narodową.

Lampe zdawał sobie sprawę, że nowy układ sił społecznych tak wewnątrz narodu jak i na arenie międzynarodowej wymaga nowych metod rządzenia i nowych form rozwojowych.

„Wszystkie partie polityczne Polski ze swoimi starymi programami, starymi metodami działania i starymi przywódcami przeżyły się. Rzeczywistość wymaga nowego ukształtowania kierunków politycznych w Polsce. Dla dokonania niezbędne są nowe wielkie prądy ideowe.

Rozpoczniemy poszukiwanie dróg nowego typu gospodarki narodowej. Z chwilą odzyskania niepodległości odrazu stanie przed krajem sprawa dróg odbudowy".

I dalej kreśli model demokracji ludowej, zaznaczając przytem że „pierwszym warunkiem odrodzenia narodowego jest wolność ukształtowania własnych dróg rozwojowych". Przytem stwierdza: „teoretycznie jest możliwa, a w każdym razie nie jest wykluczona możliwość ewolucji gospodarczo-politycznej Polski w kierunku socjalistycznym, drogą pokojową, bez wojny domowej". (Z tez programowych).

Gdy ginęła stara Polska i stara Europa Lampe znalazł koncepcję nowych form ustrojowych, wykazał, że wewnętrzny, jak i międzynarodowy układ sił społecznych uniemożliwiał wówczas pokojowe współżycie i rozwój narodów — stwierdził również, że niemożliwy jest powrót do minionego.

Lampe obracał się nie tylko w granicach problemu przezwyciężenia sprzeczności kapitalistycznych — konieczność ta nie podlegała dyskusji. Szukał nowych dróg i metod przełamania kapitalizmu. Tym różnił się od teoretyków i pisarzy mieszczańskich. Tamci w stary przeżyty schemat ustrojowy chcieli w najlepszym razie włożyć jedynie pewne nowe elementy — a w rzeczywistości nie umieli rozwiązać żadnego problemu społecznego. Nie podołali trudnościom problematyki społecznej ani Mannheim i Popper — w Anglii — ani Blum, Izard we Francji.

Blum jeszcze w okresie pobytu w niemieckim obozie pisał, że o ile narody chcą po wojnie dalej istnieć i współpracować — winny zrezygnować ze swej suwerenności, która — jego zdaniem — jest już dziś anachronizmem.

Lampe jak i wszyscy teoretycy demokracji ludowej dowodzi, że podstawowym warunkiem rozwoju Polski — jest wolność i niezależność narodowa.

Rozbieżność ma charakter zasadniczy.

Kiedyś mieszczaństwo chełpiło się swą ideą suwerenności i niezależności narodowej. Na sztandarze rewolucji wypisało trzy hasła: „Liberté, Fraternité, Egalité". Z dwóch ostatnich zrezygnowało w toku walk klasowych jeszcze w XIX wieku. Pierwsze zakwestionowali obecnie. (Świadczą o tym różnorakie publikacje wydawane zarówno w Anglii jak i we Francji — a w zasadzie ograniczenie suwerenności narodowej jest podstawową ideą dzisiejszego zachodnio - europejskiego mieszczaństwa).

Z jakich przyczyn? Nie bez słuszności pisze gdzieś uczony francuski, Halbwachs, że mieszczaństwo w toku ewolucji historycznej upodabnia się jakoś socjologicznie do szlachty. Niewątpliwym zaś jest fakt, że coraz wydatniej nabiera cech internacjonalnych — coraz ściślejsze łączą je więzy ponadnarodowe — międzynarodowe i klasowe.

Sprzeczności klasowych między pracą i kapitałem przez długi czas nie dostrzegała nauka burżuazyjna. Gdy je stwierdzała — traciła zdolności badawcze i twórcze. Guizot — po rzezi czerwcowej 1848 roku — na kilkanaście lat zawiesił swą pracę naukową.

Kryzys mieszczańskiej koncepcji narodów drążył naukę mieszczańską przez cały wiek XIX i XX.

W ostateczności zmusił ją do rezygnacji z niej.

I nie dziw, że problem narodu podejmuje nauka robotnicza i demokratyczna. Lampe stwierdza jedynie fakty oczywiste: — klasy rządzące — burżuazja i ziemiaństwo — wynarodowiły się, bo straciły wyczucie interesów i zagadnień narodowych. Straciły sens historyczny w ramach nowego układu sił społecznych i klasowych.

O ile obóz szlachecko — burżuazyjny maluje koncepcję narodu, w której klasy ludowe — według wyrażenia Świętochowskiego — były zawsze elementem biernym — Lampe kreślił koncepcję narodu, w której podstawową siłą czynną jest właśnie lud. Pozwoliło mu to wyprowadzić teorię narodu z zaułka w jaki zaprowadziła ją myśl mieszczańska.

Idea demokratycznego frontu narodowego jest niczym innym, jak przestawieniem sił społecznych w łonie narodu — a w dalszym etapie historycznym — likwidacją sprzeczności wewnątrz - narodowych. Elementem dominującym przestają być klasy posiadające. Rolę czołową w narodzie odgrywać zaczynają klasa robotnicza i chłopska.

Nowa koncepcja narodu zrodziła się w toku zaciekłej walki z hitleryzmem, gdy w grę wchodziła obrona kultury, cywilizacji i egzystencji narodu. Nie wyskoczyła jak Atena z głowy Zeusa. Jej powstanie uwarunkował całokształt stosunków społecznych i międzynarodowych — klęska starych doktryn i mechanizmów społecznych, a w pierwszym rzędzie wielki, antyfaszystowski poryw mas ludowych.

Wielkość Lampego na tym polega, że umiał nowym koncepcjom — jeden z pierwszych w Polsce — nadać kształt pojęciowy i intelektualny. Że poprzez wojnę przerzucił pomost do czasów pokojowych. Pomost trwały realny i historycznie postępowy.

---

*) Alfred Lampe — Myśli o Nowej Polsce, Książka, 1948.

Maria Janion

Szlachetność czy szlachetczyzna



Maria Dąbrowska
w okresie pisania „Ludzi stamtąd"

NA „GRUBEGO ZWIERZA"

Z okazji wznowienia przez „Czytelnika" „Ludzi stamtąd" Marii Dąbrowskiej, czołowi współcześni krytycy zareprezentowali arsenał chwytów, których zazwyczaj używa się tylko przy wyprawie na grubego zwierza literackiego. Wacław Kubacki w „Odrodzeniu" (nr 92, „Pod znakiem epiki") i Kazimierz Wyka w „Twórczości" (zeszyt 12, r. 1946, „Ludzie stąd") przedstawili niesłychanie drobiazgowy opis artystycznego kształtu „Ludzi stamtąd" w kategoriach mniej lub więcej formalistycznych. Melania Kierczyńska w „Kuźnicy" (nr 68, „O „Ludziach stąmtąd") w ramach analizy ideologicznej dokonała interpretacji ideologicznego sensu i społecznej funkcji utworu.

Rezultaty krytycznych wywodów Kubackiego i Wyki dadzą się, poza dostarczeniem interesującej lektury czytelnikom czasopisma, sprowadzić do kilku superlatywów, podkreślających słusznie wartość artystyczną utworu Dąbrowskiej oraz do kilku niejasnych ogólników o „postawie ludzkiej" autorki czy do zawikłanych rozważań o „epickości".

Melania Kierczyńska sens ideologiczny utworu starała się wyinterpretować, jedynie na podstawie tekstu, nie interesując się sytuacją historyczną, z którą należy skonfrontować postawę ideologiczną autorki, ani też nie starając się wniknąć głębiej **w warunki i przyczyny kształtowania się takiej ideologii.** Stąd trafne obserwacje Kierczyńskiej doprowadziły przez swą apodyktyczność i bezwzględne przykrawanie według wzorców absolutnych do krzywdzącego Dąbrowską stanowiska.

Kierczyńska podchwyciła skwapliwie wyznanie autorki, w którym daje ona wyraz swemu filozofującemu nastawieniu i uznała „Ludzi stamtąd" niemal za **metafizyczną przypowieść.** Kierczyńska słusznie podkreśliła w swej recenzji, że Dąbrowska wskazuje nędzarzom wyłącznie drogi duchowego przezwyciężania ciężkich warunków codziennego bytowania. Że pociecha, jakiej im udziela w swej niewątpliwie pięknej książce — to erotyzm, miłość życia, przejęcie się pracą, wreszcie to, co sama Dąbrowska z okazji „Pamiętników chłopów" nazwała „radością życia przecierpianego".

Społeczna funkcja utworu i możliwości aktualnego oddziaływania zostały słusznie nazwane i odsłonięte. Nie ujawniła jednak Kierczyńska wewnętrznego powiązania „Ludzi stamtąd" z całokształtem twórczości Dąbrowskiej, co dało **lukę w ostatecznej ocenie.** Lukę tę ma zamiar wypełnić mój artykuł.

Kierczyńska stwierdza: „Stanowisko zajęte przez Dąbrowską odpowiada obiektywnie interesom tych, którzy z ustroju społecznego, warunkującego „dno życia" w czworakach czerpali własne bogate możliwości życiowe". Jeśli „Ludzie stamtąd" czy jakikolwiek inny utwór Dąbrowskiej odpowiadał interesom dworu, to były to nader **wysublimowane „interesy".** Obrona dworu szlacheckiego, przeprowadzona przez Dąbrowską została przecież także przeniesiona w całości w sferę perspektyw moralnych, walk i osiągnięć duchowych.

„MÓWIĘ, BOM SMUTNY I SAM PEŁEN WINY..."

To motto „Rozdroża" określa w najlepszy sposób całokształt społecznej, publicystycznej i literackiej działalności Marii Dąbrowskiej. Postawa ideologiczna Dąbrowskiej wyrosła niemal w całości **z gestu kajającego się szlachcica.** Da się ją wmieścić bez reszty w szereg rozwojowy społecznej myśli szlachetnych odkupicieli win dworu.

Nasilenie, jakie u progu niepodległości przybrał konflikt między wsią a dworem, wzrost sił stronnictw ludowych i ich radykalizacja na lewym skrzydle, zbliżonym do ugrupowań socjalistycznych, wpływy, jakie socjaliści i ludowcy zdobyli w pierwszych rządach niepodległej Polski, pogłosy rewolucji rosyjskiej, lęk przed wybuchem niezadowolenia w masach, mogących znieść warstwę szlachecką z powierzchni ziemi — wszystko to stawiało sprawę reform wsi na ostrzu noża i pozostawiało członkom tej warstwy dwie możliwości: **ekspiację** z win stuleci lub **okopy Św. Trójcy.**

Droga ekspiacji była teraz oczywiście trudniejsza, wymagająca od ówczesnego pokolenia więcej, niż od pokoleń poprzednich. Dąbrowska dała w „Mojej odpowiedzi" sumaryczną ocenę dawnych dróg naprawy błędów: — „ideą spełnionych zadośćuczynień — w powstaniach, konfiskatach i ofiarach z dóbr — nie można się zasłaniać, i wykręcać od konieczności przeobrażeń w naszym ustroju rolnym skoro ekspiacje owe były tego rodzaju, że nie mogły bolączek społeczno-gospodarczych uleczyć". Droga ekspiacji poprzez ofiarność na cele narodowe została zdezaktualizowana przewrotem stosunków politycznych. Dziesięciu sprawiedliwych szlachetczyzny skierowało się na wyznaczony tradycją szlacheckich radykałów szlak reform społeczno-gospodarczych.

Oczywiście — na plan pierwszy wysunęło się tu marzenie **o moralnym odrodzeniu** warstwy szlacheckiej, o ratowaniu jej poprzez wskazanie użyteczności i niezbędności na innej płaszczyźnie: — świętości moralnej. Nie sposób oddzielić tych szlachetnych złudzeń od wskazań innego apologety szlacheckiej ekspiacji, Żeromskiego z roku 1907: „Okaże teraz szlachcic polski wielkość duszy, która przecie samą siebie w trudzie tyle lat przezwyciężała. Odpasze wreszcie złotolity pas i zrzuci z ramion kontusz czerwony. Zstąpi w piastowski lud i stanie się ludem... Rozpustne swoje hasło: — „zastaw się, a postaw się!" — przemieni szlachta polska na najwyższe hasło świata. Zastaw się, jak wygnańce w ziemię cudzą i w ziemię sybirską! **Nie zostaw sobie nic prócz wielkości duszy"** (podkr. moje— „Słowo o bandosie").

Wszystko wydawało się jeszcze łatwe w promieniach entuzjazmu niepodległościowego, uczucia „...głębokiego i pokornego zachwytu nad wielkością czasów, w których żyjemy, pięknością i drogocennością ziemi, danej nam za warsztat pracy i potęgą przyszłości, która jest cała przed nami" (Dąbrowska „O zjednoczonej Polsce", 1919). „Ziemia, dana nam za warsztat pracy" stała się przedmiotem reformy rolnej. Polski szlachcic nie entuzjazmował się okazją zdobycia „wielkości ducha": oprócz burzy protestów, bezsilnych wobec uchwał sejmu, pojawiły się groźniejsze objawy sabotażu, jak np. pozostawianie odłogiem przeznaczonych na parcelację części majątku itp.

Dąbrowska, pracująca wówczas w Urzędzie Ziemskim, wydała broszurkę „O wykonaniu reformy rolnej" (1921), gdzie w tonie pełnym biurokratycznej naiwności wzywała do współpracy z „czynnikami rządowymi", apelowała do bezstronności, umiarkowania, zrozumienia rzeczy, miłości dobra publicznego i wielu jeszcze pięknych cech i przymiotów. Reforma wykonana w tym duchu miała być istotną i trwałą naprawą ustroju rolnego Polski.

W tonie rzeczowego komentarza ustawy, jaki panuje w całości broszurki poza moralizatorskim wstępem i zakończeniem, uderzają momenty — zdawałoby się najzupełniej zbyteczne w urzędowym wydawnictwie tego typu — **gorące apoteozy kooperatyzmu.** Kooperatyzm miał tu zabezpieczyć pomyślne rezultaty reformy rolnej.

Jednak nie tylko tyle. W ideologii Dąbrowskiej, kształtującej się — jak sama stwierdza — w ogromnej mierze pod wpływami myśli E. Abramowskiego, kooperatyzm urósł do znaczenia cudownego eliksiru na wszelkie schorzenia organizmu społecznego. Tak traktował to sam Abramowski — „Kooperatywa, jako sprawa wyzwolenia ludu pracującego" (2 wyd., 1917). Nie trzeba dodawać, że była to **typowa utopijna poprawka do kapitalizmu.** Wartość idei kooperatywizmu polegała nie tylko na uniwersalności, ale i na możliwości wyrugowania dzięki niej czynnika rewolucji.

Dąbrowska podkreślała, że dzieła Abramowskiego były jedną z tych rzeczy na świecie, które natchnęły ją wielkim entuzjazmem do życia. Z Abramowskiego zaczerpnęła wiarę w kooperatywę, jako czynnik wyzwolenia człowieka bez stosowania ostrych środków, nadzieję, że wobec rozwoju kooperatyw ustrój kapitalistyczny zamrze naturalną śmiercią, a nade wszystko charakterystyczną dla swych solidarystycznych marzeń radosną utopię braterstwa i współdziałania, **wspaniałej moralnej przebudowy człowieka.** Poza entuzjastycznymi artykułami i książką, poświęconą Abramowskiemu w r. 1925 „mania cooperativica" Dąbrowskiej przejawia się wreszcie i w działalności publicystycznej, niezwiązanej z szerzeniem kultu osoby Abramowskiego, jak „Ręce w uścisku" (1938), a nawet i w literackiej. W r. 1922 wydała Dąbrowska zbiorek opowiadań pt. „Gałąź czereśni", poświęcony w całości nieukrywanej propagandzie idei spółdzielczej.

Curiosum swego rodzaju klasyczny przyczynek do postawy filantropijnego marzycielstwa stanowić może opowiadanie „Dziewczynka z kaczeńcami". Dziewczynka sprzedaje kaczeńce, żeby kupić książkę szkolną — i bolesne zdumienie autorki: dzieje się to w dobie „gdy co minutę przewalają się z rąk do rąk olbrzymie fortuny, a wielkie, międzynarodowe transakcje dokonywują się w ciągu kilku godzin". Dąbrowska w kapitaliźmie, w całej machinie ekonomicznej współczesnego społeczeństwa nie dostrzega siły, funkcjonującej konsekwentnie, rządzonej określonymi prawami rozwojowymi. Komentarz autorski sugeruje pogląd, że kapitalizm to tylko jakieś **skrzywienie kierunku działalności ludzkiej.** „I gdy na to wszystko nie mogą poradzić ci, co pędzą tysiącem pojazdów, co gonią za wielkimi interesami wzdłuż ulicy, gdzie stoi dziewczynka — myślę o **kooperatywie szkolnej...".** Kapitaliści chcieliby, ale nie mogą poradzić, bo nie są dobrymi ludźmi. „Źli ludzie — oto jest smutna klęska świata". „Niedobrzy ludzie! — perswaduje łagodnie pszenica w „Gałęzi czereśni" — Tyle macie w sobie sił cudownych, które mogą was uczynić wielkimi i bogatymi! Dlaczego chcecie na nas zarabiać — na nas, ubogiej żywności świata?"

Sprecyzowany został leitmotiv całej twórczości Dąbrowskiej: — źli ludzie... niemądrzy ludzie... działający wbrew własnym interesom ludzie...

Reforma rolna z r. 1920, ani poprawka z r. 1925 nie przyniosły oczekiwanej, istotnej i trwałej naprawy ustroju rolnego Polski. Prof. Bujak, jeden z najgorętszych bojowników o reformę rolną w latach 1918-19 (nota bene przyjmujący wówczas, jako dopuszczalne maximum ziemiańskiego folwarku 500 ha) stwierdzał w r. 1938, że rozdrobnienie ziemi w Polsce było w tych czasach większe, niż po wojnie, gdyż szereg wpływów dławiących drobną własność rolną, jak utrudniony odpływ do przemysłu, kryzys rolniczy, opanowanie organizacji rolniczych przez ziemiaństwo — zniweczył wszelkie skutki uprzedniej reformy. Była to woda na dworskie młyny: ziemiaństwo „z góry wiedziało", że reforma i tak nic nie pomoże i broniło się dalej zacięcie. Oględna — bynajmniej nie radykalna akcja parcelacyjna min. Poniatowskiego wywołała burzę protestów i wzrost egoistycznego zacietrzewienia w sferach ziemiańskiej konserwy. Dąbrowska, zatroskana o los swej warstwy, przerażona absolutnym niezrozumieniem sytuacji dworu, przechodzeniem do porządku dziennego nad najbardziej palącymi, żądającymi rozwiązania sprawami, chwyciła za pióro, by wezwać **do „upamiętania".**

W ocenie znaczenia „Rozdroża" przez samą autorkę nie brak ponurego proroctwa. Dąbrowska uważała „Rozdroże" za najbardziej umiarkowany, ale być może **ostatni już tak umiarkowany,** głos w sprawie reformy rolnej.

Konkretny program polityczny był dość mało sprecyzowany; mętność zarzucały mu też nawet pisma przychylne Dąbrowskiej i sprawie parcelacji, jak m. in. „Wieś i państwo". Funkcja „Rozdroża" nie polegała też na zarysowaniu programu; miało to być ostatnie memento dla warstwy ziemiańskiej, **dwudziestowieczne „Kazanie Sejmowe":** „...drżę o Polskę, jak drżą dziś miliony, które widzą, że Bóg jakby nas obrał z przezornego rozumu, skoro pojąć nie możemy, że nie tylko siła, wielkość, lecz i niepodległość Polski zależy od bytu i pomyślności nie garści uprzywilejowanych, ale wszystkich jej pracujących obywateli i związanych z jej dziejami ludów".

„Rozdroże" — to próba **znalezienia miejsca dla szlachty** w Rzeczpospolitej poprzez zneutralizowanie jej ujemnego działania, wskazanie jej możliwości pożytecznej funkcji społecznej. Dąbrowska nie ukrywa, że dążenie do wpłynięcia na warstwę szlachecką jest rezultatem lęku przed rewolucja socjalną, którą może wywołać prowokujące, nieustępliwe stanowisko ziemiaństwa. Możliwość uniknięcia gniewu ludu poprzez **dobrowolną ofiarę!** Stanowisko nie nowe — Żeromski pisał w „Słowie o bandosie": „Nie przymusowe, lecz dobrowolne wywłaszczenie!... Nie trzeba w Polsce rewolucji socjalnej. Kto pierwszy znalazł liberum veto, ten pierwszy zniweczy na ziemi rewolucję socjalną".

W polemice z „Rozdrożem" zarzucano Dąbrowskiej dążenie do wyeliminowania ziemiaństwa z życia Polski. Było to stanowisko jak najbardziej niesłuszne. Miejsce dla ziemian mogło się zresztą znaleźć w ramach sanacyjnej reformy rolnej. Liczne i stosunkowo spore folwarki rolne miały się stać ośrodkami kultury rolnej dla okolicy. Ziemianie — to dla Dąbrowskiej wciąż **naturalni przewodnicy ludu,** byle tylko zrozumieli logikę historii, przestali żyć pretensjami do współczesności i obroną materialnego stanu posiadania. Książka pisana była z miłością i lękiem. „Są jednak racje, których wolałoby się nie mieć. I z którymi występuje się nie dla przyjemności, lecz z rozpaczliwą nadzieją, że im jednak życie może zaprzeczy..." („Moja odpowiedź").

Nawoływania Dąbrowskiej o poprawę moralną, o przebudowę duchową oprócz powodzi oszczerstw i wymysłów wywołały jedną odpowiedź, utrzymaną w tonie spokojnym i poprawnym. „Rycerski przeciwnik" — jak stwierdza Dąbrowska — Zofia Starowieyska-Morstinowa rozprawiła się z autorką „Rozdroża", jej własną bronią: nie można wymagać od ziemian oddania ziemi, zejścia dobrowolnie ze stanowiska rządzącego. Jest to żądanie godzące w istotę człowieka, w istotę jego egoizmu, żądanie wyrzeczenia się i przezwyciężenia „własnego ja". — Jakże można to jednak robić, gdy idea reformy rolnej nie jest **prawdą absolutną,** dla której zdobywa się wyznawców i dla której przeobrażają się dusze ludzkie. Na szczęście historia musiała rozstrzygnąć ważniejsze zagadnienia, niż nierozwiązana do dziś kwestia, czy można przeobrazić duszę ziemianina.

Jak widać — kwestie społeczne, wszelkie sprawy człowieka umiała Dąbrowska widzieć **tylko w kategoriach moralnych.** Pod kątem moralnego wzniesienia czy upadku rozpatrywała nie tylko losy ludzi stąd — z zagrożonego dworu, ale i losy ludzi stamtąd — z dna folwarcznej nędzy.

NOC PONAD ŚWIATEM

Trudno rozsądzić, czy sprawa „Ludzi stamtąd" wyłoniła się nagłym cieniem ze wspomnień uśmiechniętego dzieciństwa, czy ze stosu urzędowych akt kierowniczki „referatu robotników rolnych" w Ministerstwie Rolnictwa. Przedmowy Dąbrowskiej do II i III wydania opowieści przerzucają zagadnienie na płaszczyznę ogólnoludzką, w dziedzinę wieczystych cierpień i wzlotów ducha ludzkiego. Książka jednak mówi co innego. Zbyt głęboka, smutna, ale i **konkretna wiedza o życiu** leży u jej podłoża, zbyt przejmujący i prawdziwy obraz kreśli pisarka-realistka, byśmy się dali zwieść programowym wynurzeniom o rzeczach odwiecznych i symbolicznych. Jest to nie tylko przypowieść metafizyczna, jak to sugeruje sama autorka i jej surowy krytyk, M. Kierczyńska.

„Ludzie stamtąd", to niewątpliwie dokument zarówno dokładnej **znajomości stosunków folwarcznych,** jak i solidnej wiedzy o przedmiocie i **umiejętności socjologicznego widzenia** życia gromady. Dąbrowska kreśli liczne i skomplikowane wiązania, łączące życie jednostki z folwarczną społecznością, ostro zarysowuje obraz poszczególnych grup i wzajemnych stosunków między nimi. Tak np. folwarczni i bandochy to dwie zupełnie różne grupy; nie ma elementu wrogości, ale istnieje wyraźne poczucie obcości: — „galicjoki" — mówi się o nich z pogardą, dziewuchy rade płatają im figle, chłopcy chcieliby ich wykluczyć z towarzyskiego życia gromady. Bandosy pozostają poza nawiasem momentów, w których manifestuje się ścisła wspólnota gromady: pracują w czasie pogrzebu Wityka, którego „robiące ręce" swoich niosą do grobu. Gromada osiadła — niezmienna, solidarna, związana stałością wspólnej doli, wyodrębnia się ostro od wszelkich elementów przelotnych. Równie ostro i ze znajomością stosunków wiejskich kreślona jest sytuacja człowieka, którego kalectwo i przymusowa bezczynność postawiły poza obrębem życia grupy, wyłączyły z ściślej społeczności pracującej (mleczarz Dyonizy, stróż Nikodem). Ta niewątpliwa wiedza społeczna **nie mogła doprowadzić** — wbrew twierdzeniom Kierczyńskiej — **do sfałszowań.** Bo filozofowanie Dyonizego i wybujały erotyzm Łucji czy Marynki nie kryją w sobie żadnych arealistycznych momentów; zastrzeżenia przeciw tym elementom można mieć

jedynie z punktu widzenia ich **ideologicznej funkcji** w oddziaływaniu na czytelnika.

Dotychczasowe recenzje — zarówno formalistyczne Wyki i Kubackiego, jak i artykuł Kierczyńskiej — niewłaściwie postawiły **sprawę dworu** w „Ludziach stamtąd". Wyka stwierdza podwójną: artystyczną i społeczną nieobecność dworu; Kubacki dostrzega jedyną funkcję dworu w organizowaniu grupy, wspólnoty — niezbędnego przedmiotu epickiego opisu. Według Kierczyńskiej dwór to nie tylko punkt obserwacji Dąbrowskiej, ale i szaniec niedotknięty przez nią krytyką. „Dąbrowska wyeliminowała z opisywanej przez siebie rzeczywistości rysy klasowego myślenia i odczuwania, społecznego buntu i walki najmitów rolnych, rysy wrogiego stosunku dworu i czworaków". Jest to już wyraźnie sprzeczne z prawdą.

Niedwuznaczne są przekleństwa Wityczki po śmierci męża, zaharowanego na śmierć przy dworskich owcach. Niedwuznaczne są napomknienia, dlaczego Nikodem dopiero po dziesięciu latach choroby znalazł się w szpitalu. Nie ma zamazywania społecznych konfliktów w obrazie dworu, jaki narzucał się oczom folwarcznych, szukających ratunku, gdy powyzdychały im krowy: „Nazajutrz wszyscy spoglądali na dwór, szukając w nim wątpliwego ratunku. Pod bystrym słońcem i czystym niebem stał zapadnięty, rozgrodzony, zasypany ulewą liści, sam jakby goły i cały w pręgach dzikiego wina, jak w strugach krwi ...lecz teraz, kiedy państwo wyjeżdżali za granicę, ze swą umierającą na suchoty panną, zrobiło się jeszcze gorzej. Ludzie wiedzieli dobrze, co teraz nadchodziło. Niezałatane dachy. Urwane ordynarie. Niezapłacone dniówki". Tak, pan jest na ogół dobry i ludzki, niesie na rękach pijanego stangreta — jasnym jest jednak, dlaczego Pietrek się rozpił. „— I tak... I tak. I tak człowieka gnój zeżre... Stary pan puścił go i odszedł". Spojrzenie na czworaki z dworskiego ganku jest **spojrzeniem pełnym wstydu i skruchy.**

Jeśli nawet tendencja autorki zmierzała do przefilozofowania rzeczywistości, to więcej mówią o tym przedmowy, niż tekst nowel. Straszna, niesfałszowana rzeczywistość wygląda zbyt jaskrawo spod wszystkich wątłych i wątpliwych pocieszeń.

„...jeśli mówimy o pisarzu, że stoi na pozycjach danej klasy czy warstwy społecznej, nie znaczy to bynajmniej ani że sam do niej koniecznie należy, ani nawet, że jest jej świadomym, jawnym apologetą. Znaczy to jedynie, że pisarz znajduje takie rozwiązania wysuwanych przez życie zagadnień, jakie **obiektywnie** odpowiadają interesom danej klasy czy warstwy" (Kierczyńska). Czy „Ludzie stamtąd" odpowiadali obiektywnie interesom klasy ziemiańskiej? — Obrona dworu Marii Dąbrowskiej przebiegała po linii programu zbyt **minimalistycznego,** a stawiała dworom zbyt **trudne i różnorodne obowiązki,** by mogło to być uznane za program wygodny. Ujawnienie straszliwej nocy nad światem czworaków nie było zgodne z interesami dworu — z całą pewnością. Po wydaniu „Ludzi stamtąd" jeden z przedstawicieli ziemiaństwa pisał z oburzeniem do Dąbrowskiej, że jej książka to wybryk chorej wyobraźni. Nie było zgodne z interesami ziemiańskiej konserwy „Rozdroże". Warstwa ziemiańska nie przebierała też w słowach na określenie „zbrodniczej" pozycji Dąbrowskiej.

Stanowisko Dąbrowskiej nie było rewolucyjne. Nawiązywało do innych prób wmontowania folwarku w strukturę społeczną Polski, podejmowanych przez prof. Grabskiego („Wieś i folwark", 1930). Spośród działaczy ludowych bliskim był Dąbrowskiej jedynie profesor Bujak. Nawet „Młoda Myśl Ludowa", jak stwierdzała Dąbrowska w „Odpowiedzi", miała o wiele bardziej radykalny program. Mimo to ze strony szlacheckiej rozprawiono się z Dąbrowską niesłychanie ostro. Czego nie powiedziano z okazji „Rozdroża"! Ewokowano nawet ducha Szeli — „Do roboty Szeli brać trzeba rasowych czekistów" — drwił nieoceniony „Merkuriusz". **Swoi odtrącili Dąbrowską ostatecznie.** „Polemika z „Rozdrożem" dużo mnie nauczyła. Wiem tedy, że wystąpiłam coś jakby w roli durnego Don Kichota, który w ziemiaństwie chciał widzieć Dulcyneę i to zdolną do przemienienia się w księżniczkę ducha. Owa zaś Dulcynea „silna, leniwa i czerstwa" (Norwid) w odpowiedzi wylała mi na głowę kubeł brudów i pomyj. Tak bywa durnym Don Kichotom. „I bardzo słusznie" — mówiąc znowu słowami Norwida". („Odpowiedź").

Oto durny Don Kichot czy też Rycerz-Bandos z opowieści Żeromskiego, panicz, co „krwawą bandosa dolę przypiął sobie do lewego boku, jak zardzewiały, w ziemi wykopany brzeszczot mieczowy".

Wśród odradzającego się ducha szlachetczyzny odbyła się **ostatnia zapewne w naszej historii próba ekspiacji.** Próba etymologicznego uzasadnienia sensu szlacheckości poprzez jej związki ze szlachetnością. Szlachecka ekspiacja na każdym polu — a więc i wstyd za własną „uczoność" wobec upośledzonej ciemnoty. To właśnie Maria Dąbrowska z uporem forsuje w roku 1937 kandydaturę „Pamiętników chłopów" do nagrody „Wiadomości Literackich" za najlepszą książkę r. 1936. Trzeba podać koleżeńską dłoń „mozolnym wysiłkom przebijającej się na światło samorodnej twórczości chłopskiej" — brzmi uzasadnienie jury. Nie śmiejmy się z tej apoteozy „samorodności!" **Nie trudno dziś — z pozycji współczesnego radykalnego ruchu ludowego — mówić o wsteczności poglądów Marii Dąbrowskiej.**

Czy „Ludzie stamtąd" mogą być dziś książką szkodliwą? — Zapewne. I ma tu rację Kierczyńska. Ale to kwestia **właściwego komentarza.**

W głębi sanacyjnej nocy nad światem umiejmy jednak dostrzec **historyczny sens** twórczości Marii Dąbrowskiej. To ostatnie ogniwo w łańcuchu zjawisk zwanych „radykalizmem szlacheckim". Dziś jest to świat zamknięty, miniony. Pęd żywej historii uczynił jego problemy **kartką z podręcznika „dziejów ojczystych".** Przemijanie jego skwitował utwór artystycznie doskonały. Nie przypadkowo porównywano „Ludzi stamtąd" do „Pana Tadeusza" — — „Patrzcie, patrzcie młodzi, może to już ostatni...".

Na szczęście!

Maria Janion

Ilja Erenburg

W POLSCE*)

WARSZAWA

Chodzimy po Warszawie z Julianem Tuwimem. Wokoło rumowisko i księżyc. Wspominamy jak ongiś przed 20-tu laty krążyliśmy po tych samych ulicach. Tak samo jak wtedy gwarzymy o poezji. W pewnym momencie Tuwim pyta: „Czyż jest w świecie piękniejsze miasto?" — Rzeczywiście, zburzona Warszawa jest piękna w swym tragiźmie. Czynszowe kamienice z końca XIX w. upodobniły się dziś do ruin Rzymu. Miasto nie umarło. Mrowie ludzi krząta się i buduje, taszczy kamienie, sadzi kwiaty. Warszawa — ta, którą znałem przed wojną, nie zachwycała mnie. To nie Kraków z wysmukłymi konturami Wawelu. Mimo to posiadała swój szczególny urok — wdzięk, lekkość, nastrój cichego

PORTRETY ŚLĄSKIE



Młody robotnik

rys. M. Bezdzikówna

smutku. Jakżeż zmieniło się to miasto! Zmieniła się cała Polska. Wprawdzie nie trudno dojrzeć pierwotny rysunek Warszawy, rozeznać się według starego planu w labiryncie zrujnowanych ulic, usłyszeć znajome niegdyś nazwy, napotkać dawnych, cudem ocalonych znajomych. Oto ruiny kościoła: szkielet dachu, przed ołtarzem Matki Boskiej świece, astry, klęczące kobiety. Oto zwalony dom, ale na parterze cukiernia. — Ale wszystkie te zasadnicze elementy dawnej panoramy stanowią jedynie szczegóły o wiele szerszego płótna — Warszawy nowej, takiej, jak była i jednocześnie innej. Nie mówię w tej chwili o ofiarach, bohaterach, męczennikach, powstańcach ghetta. Mówię o tych, co ocaleli. Ci zachowali dawną żywość i wdzięk, lecz stali się naturalniejsi i silniejsi. Zmienił się wygląd tłumu. Nie widać już w Alejach Jerozolimskich olśniewających oficerów, nadających ulicy charakter dekoracji operetkowych. Dzisiejsi oficerowie nie czynią już tak srogiego marsa. Ci walczyli. Mniej też staroświeckich wąsatych ziemian i... mniej żebraków. Wiadomo było od dawna, że Polacy umieją się bić. Legendy o polskiej odwadze obiegały w XIX w. całą Europę. Wiedzieliśmy również, że to naród wysoce utalentowany — dał przecież światu Mickiewicza, Słowackiego i Chopina. Dzisiaj ujrzeliśmy jeszcze jedną Polskę — Polskę pracy. Twardy wysiłek znosi zwaliska Warszawy, przydaje szczególne znaczenie stertom kamieni i cementu, zwózce i terkotowi maszyn.

Nowy, niezauważalny tu dawniej rytm pracy — nowoczesny romantyzm — patos powrotu do życia. Dla Niemców miało to być żerowisko bezczelnych zbirów, teren obozów śmierci. Jedynie my, Rosjanie potrafimy odczuć ile ten kraj przecierpiał. Tutaj uderzają naszą uwagę już nie ruiny, a po prostu... te nieliczne domy, które ocalały. A jednak współczesna Polska szybciej wraca do życia niż stosunkowo mniej zniszczona Francja. Nie posądzamy Francji o lenistwo. Lecz nie ma tam tej jedności, tej wiary w przyszłość, jaka cechuje nową Polskę — wiary, która uderza przybysza, kiedy wda się w rozmowę z ludźmi ruin. Oto jakaś kobiecina biduje na Starym Mieście, gdzie po prostu nie został kamień na kamieniu. Oczyściła z dziećmi suterynę i zasadziła kwiaty. Noc, pusto, ciemno, zwał kamieni i.... malec z elementarzem. O czymże ta kobieta myśli? o trzeciej wojnie? o bombie atomowej? Nie, ona tu pomiędzy ruinami czuje się spokojniejsza, niżeli wszyscy mieszkańcy Washingtonu i Chicago. Zastanawia się nad przyszłością syna, może będzie z niego inżynier, może doktór.

Pamiętam jak to przed 20 laty Warszawę trzęsła po nocach gorączka. Sensacyjne tytuły wieczorowych gazet straszyły czytelników niemal co dobę, straszyły wszystkim... nawet groteskowym Waldemarasem. A dziś Warszawa, a z nią cała Polska jest sprzymierzona z przyszłością i dlatego właśnie tak sprężyście pracują fabryki Łodzi, Białegostoku czy Katowic, a młodzi ludzie zapełniają audytoria uniwersytetów.

WROCŁAW

Wrocław jest jedną z tych miejscowości, gdzie szczególnie mocno czuje się wiarę w człowieka. Miasto na skutek trzymiesięcznych walk zniszczone niemal ze szczętem żyje, stanowiąc miernik polskiej woli. Miasto piękne. Szczęściem część jego zabytków ocalała: ratusz, katedra z romańską rzeźbą, koronki gotyku, anieli renesansu. Znajomy rzeźbiarz rzekł mi, że powietrze i koloryt Wrocławia przypominają mu paryskie nadbrzeża Sekwany. Gdy wspomniałem o sztuce, uczyniłem to nie tylko dlatego, że jest ona tak charakterystyczna dla Wrocławia, lecz również dlatego, że ten duch w i e l k i e j t w ó r c z o ś c i żyje we wszystkich jego nowych mieszkańcach, od kamieniarza do studentów.

Kapitele i portale, które mnie tak zachwyciły, pochodzą jeszcze z owych czasów, gdy przedwojenny Breslau był Wrocławiem. Nie zajmuję się ani archeologią polityczną, ani polityką archeologiczną. Gdy myślę o ciężkiej walce, jaką Żydzi toczą obecnie w Palestynie, to przed oczyma nie staje mi król Dawid i Juda Machabeusz, lecz trud, pot i krew tych ludzi, którzy tu wśród pustyń założyli kwitnące wioski. Tak samo Wrocław jest dla mnie miastem polskim nie dlatego, iż zachowały się w nim cegły z czasów Bolesława Krzywoustego, ale dlatego, że 300.000 polskich pionierów umiało przepoić życiem wypalone i połamane mury.

„Washington Post" nie tak dawno poinformowała swoich czytelników, że Wrocław jest dla Polski ciężarem, i że Polacy zaskoczeni są narzuconą sobie w nim rolą gospodarzy. Poczciwi Amerykanie chcieliby Polskę od Wrocławia... oswobodzić. Amerykańska i angielska prasa przedrukowuje artykuliki socjal-demokratów niemieckich: „Niemcy przesiedlone". „Obszary najbardziej ongiś zagospodarowane dziczeją", „Co rychlej przeprowadzić rewizję granic". Na szczęście o losach Wrocławia nie decydują już filantropijne „pobożne życzenia" „Washington Post", ani też kiepski humor p. Marshalla. Jedna z niemieckich gazet w angielskiej strefie oznajmiła niedawno, że strata Wrocławia i Szczecina to finis Germaniae. Schuhmachery nie chcą pogodzić się ze stratą Wrocławia, a godzą się nad wyraz chętnie na jakąś Bizonię, która może liczyć w najlepszym razie na niepodległość w rodzaju Guatemali czy wysp Hawajskich. Próżno niemieccy socjal-demokraci i ich anglosascy poplecznicy klarują, iż Niemcy nie mogą bez Śląska istnieć. Wszyscy niemieccy, badacze, zajmujący się przed wojną problemem wschodnim, wskazywali z trwogą na zjawisko tzw. „Ostfluchtu" — „ucieczki ze wschodu" — masowe opuszczanie przez Niemców terytoriów kresowych i przenoszenie się na zachód. Dla Niemiec tereny wschodnie były doczepką, posiadanie ich było raczej kwestią heraldycznego snobizmu, a nie konieczności ekonomicznej. Dla Polski Ziemie Odzyskane to zboże, węgiel, morze, życie. Olbrzymia większość mieszkańców to nowoprzybyli: Polacy ze Lwowa, zniszczonych miast Polski Centralnej czy z Francji. Mawiano często ongiś, że Polakom brak zdrowego rozsądku i dyscypliny, jednak nikt, nawet wrogowie, nie mogli im nigdy zarzucić braku patriotyzmu. Stykałem się z polskimi górnikami w północnej Francji. W okresie międzywojennym niepodległa Polska nie była w stanie przygarnąć ich i wyżywić, mimo to pozostali wierni polskości i bynajmniej nie zdziwiło mnie, gdy ujrzałem ich teraz nad Odrą. Obecnie kontynuują długą historię swego narodu i rozpoczynają nowe dzieje Śląska.

PORTRETY ŚLĄSKIE



Młody inżynier

rys. M. Bezdzikówna

Z przedziwną szybkością choć w niezmiernie ciężkich warunkach wybudowano we Wrocławiu olbrzymią fabrykę wagonów. Widziałem w niej Polaków zza Bugu, z Wileńszczyzny, z Francji. Nie jest to dla nich jakaś zwyczajna sobie fabryka — wyłączne miejsce pracy i zarobku, ale jednocześnie realizacja nowego patriotyzmu i narodowych ambicji.

Przeoranie pustyni intelektualnej to jeszcze większe dzieło niż likwidacja ruin. Uniwersytet wrocławski został w dużej mierze zniszczony. Z jakim jednak zapałem w audytoriach, przypominających jeszcze wyglądem kantory zakładów budowlanych, młodzi chłopcy i dziewczęta przybyli z odległych często okolic kraju, słuchają wykładów. Profesorowie (większość z Uniwersytetu Lwowskiego), ludzie już niemłodzi, widzą tu, że dorobek ich życia nie został zmarnowany. Mają komu przekazać swoją wiedzę, wątpliwości, wiarę. W teatrze, gdzie wystawiano dotąd prymitywne, dydaktyczne melodramaty uczniów Baldura von Schirach, gra się Szekspira, Gogola, Priestley'a. Czy to również „zdziczenie?".

W gmachu teatru mieści się pracownia dwóch młodych malarzy. Powstają tam nie portrety Hitlera w pseudoklasycznym stylu, lecz bardzo śmiałe w ujęciu pejzaże. I jeszcze jeden objaw „dzikości": koncert praskiej filharmonii w sali koncertowej byłej niemieckiej radiostacji, z której niedawno jeszcze ulatywało w eter „Hier spricht Breslau!"

Przychodzą mi na myśl miasta i wsie Loary. Francuzi żyją tam w domach ojców i dziadów. Nikt, ni w Londynie, ni w Washingtonie nie zastanawia się, czy ich stamtąd nie wysiedlić. I ci nie naprawiają zburzonych budynków, nie montują mostów. Polacy wrocławscy wiedzą, że tu pozostaną.

tłum. **Tadeusz Chróścielewski**

*) „Nowoje Wremia" Nr 1 (139) styczeń 1948 r.

Dyskusję na temat ruchu ludowego w Galicji rozpoczętą artykułem R. Rybackiej („Rozmowa u starej zasłony" „Wieś" nr. 48 (127) prowadzimy w dalszym ciągu. Czytelnik zapoznał się już z głosami Z. Lasockiego („odpowiedź na „starą zasłonę" „Wieś" nr. 7 (136), M. Czuły, („Zdradzieckie zakręty" — „Wieś" nr. 7 (136), odpowiedzią R. Rybackiej („U źródeł „Piasta" nr. 8—9 (137—138), skolei oddajemy głos dr. Putkowi, wzywając nowych autorów do pogłębienia obrazu historii ludowych walk politycznych.

Redakcja

Józef Putek

„CEMENT" w dziejach ruchu

NA przestrzeni czasu od r. 1907 do roku 1913 wybitną rolę w życiu politycznym Galicji odegrali dwaj politycy: Jan Stapiński i Michał Bobrzyński. Duchowe zbliżenie Stapińskiego do Bobrzyńskiego dokonało się w latach osiemdziesiątych XIX stulecia, gdy Stapiński był jeszcze uczniem gimnazjum jasielskiego. Znacznie od niego starszy Bobrzyński miał już za sobą duży dorobek naukowy, a jego dzieło historyczne „Dzieje Polski w zarysie" było na owe czasy rewelacją. W tajnej studenckiej organizacji „Białego Orła" Stapiński zapoznał się z tą książką i ona wywarła na nim niezatarte wrażenie. Krytyczny pogląd na działalność kleru urobił sobie Stapiński właśnie na podstawie tej książki. W czasach akademickich, gdy Stapiński był sejmowym sprawozdawcą „Kuriera Lwowskiego", gdy następnie od r. 1901 był posłem sejmowym, z dużą sympatią — a nawet podziwem odnosił się do wystąpień w sejmie posła i wiceprezydenta Rady Szkolnej krajowej Bobrzyńskiego. Wiele argumentów z jego mów pamiętał w późniejszym życiu, tak jak i wiele utkwiło mu w pamięci z mów Wojciecha Dzieduszyckiego. Bliższa współpraca polityczna Bobrzyńskiego ze Stapińskim zaczęła się po zwycięskich wyborach w r. 1907, gdy pozostający poza Kołem Polskim ludowcy rozporządzali 16 mandatami, a siedemnasty zwolennik S.L. Marek Łuszczkiewicz w Kole Polskim oczekiwał na ich wstąpienie do Koła. Narodowa demokracja, która także z pokaźną liczbą mandatów weszła do Rady Państwa, przygotowywała się do objęcia spuścizny po konserwatystach i sięgnęła też po prezesurę Koła Polskiego. Spośród krakowskich stańczyków zasiadał wówczas w Kole Polskim jeden jedyny poseł Bobrzyński, który narodowców - demokratów uznawał za partię największych szkodników publicznych. W tym poglądzie zgodny z nim był Stapiński, to też po porozumieniu z Bobrzyńskim wystosował list do Koła Polskiego z przedstawieniem, by nie wybierano Głąbińskiego na prezesa Koła z uwagi, że osoba jego stanie się przeszkodą przy rozważaniu problemu wstąpienia ludowców do Koła Polskiego. Już wówczas zarysowało się dość ostre przeciwieństwo między narodową demokracją i ludowcami o zbliżenie do partii konserwatywnej. W roku 1908 odbyć się miały wybory do sejmu krajowego na podstawie starej kurialnej ordynacji wyborczej. Wybory poprzedził pakt wyborczy zawarty między stronnictwem ludowym a partią konserwatywną, gwarantujący 19 mandatów stronnictwu ludowemu. Przy zawieraniu paktu czynny był ze strony konserwatystów Bobrzyński. Pakt został dotrzymany. Gdy po zamordowaniu namiestnika Potockiego opróżnił się fotel namiestnikowski, został namiestnikiem Bobrzyński, poparty skutecznie na to stanowisko przez Stronnictwo Ludowe, które już wówczas wstąpiło do Koła Polskiego i stało się stronnictwem współrządzącym. Po nominacji Bobrzyński zaprosił Stapińskiego do swego pokoju w Hotelu Francuskim w Wiedniu i tu w parogodzinnej rozmowie przedstawił mu pogląd swój na sprawę chłopską, na rolę stronnictwa ludowego. Rozmowa wywarła na Stapińskim jak najlepsze wrażenie. Relacjonował więc klubowi poselskiemu, że Bobrzyńskiemu znany jest dokładnie ruch ludowy, że uznaje konieczność przeprowadzenia reform, że do służby administracyjnej przyjmie większą ilość pracowników pochodzenia chłopskiego. [1]

Okazało się, że przyrzeczenia Bobrzyńskiego nie były tylko słowami na wiatr puszczonymi. Aby zdyscyplinować urzędników administracyjnych i zniewolić ich do należytego obchodzenia się z ludowcami, poprzenosił wskutek zażalenia Stapińskiego na starostwo w Krośnie wszystkich urzędników tego starostwa. W brzeżańskim powiecie podobnie postąpił wskutek zażalenia wniesionego na starostwo przez posłów ruskich. Po tych zarządzeniach, które były sygnałem ostrzegawczym dla zbyt reakcyjnie nastawionych starostów, Bobrzyński zrobił z nich lojalnych wykonawców swoich dyspozycji i zarządzeń. Zrozumieli, że mają do czynienia z człowiekiem silnej ręki, który szlachetczyznie rozsiadłej po urzędach administracyjnych pobłażać nie będzie. Na interwencje udzielał Bobrzyński posłom ludowym odpowiedzi pisemnych, czego dawniej nie było. Sprawy musiały być załatwiane szybko a zwłaszcza kierowane do władz administracyjnych przez posłów.

W zapiskach posła Bojki podana jest treść listu Bobrzyńskiego do niego, z której wynika, że sprawa odpisania podatków dotkniętym klęską powodzi w powiecie dąbrowskim już jest pozytywnie załatwiona, a chłopski syn F. K. przyjęty do służby w namiestnictwie. W r. 1910 kończyła w Galicji swój żywot szlachecka propinacja, reprezentowana przez 17.818 karczem. Na żądanie Stapińskiego przedstawione imieniem stronnictwa, Bobrzyński ograniczył ilość koncesji szynkarskich do 10 tysięcy. Otrzymali je przeważnie koncesjonariusze nowi, a między nimi 2 tysiące polskich chłopów. Natomiast przeszło 7 tysięcy karczem zostało zwinięte. W ten sposób zlikwidowany został częściowo aparat żandarmski, szpiclowski i usunięci ze wsi lichwiarze.

Bobrzyński nie był szlachcicem, był synem mieszczanina. Trudno dzisiaj powiedzieć, dlaczego znalazł się w partii szlacheckiej. Być może, że zjednała go sobie szlachta zachodnio-galicyjska jako profesora uniwersytetu, jako człowieka mądrego, dając mu poczesne stanowiska, aby w jego osobie mieć jednego z najlepszych zastępców swoich interesów, być może też, że z tym pragnieniem szlachty zbiegła się chęć i wola samego Bobrzyńskiego odegrania w życiu publicznym ważniejszej roli właśnie w oparciu o część szlachty, która w latach osiemdziesiątych stanowiła wobec braku mieszczaństwa i nieświadomości politycznej ludu, jedyny czynnik, w którym indywidualność taka jak Bobrzyński, mogła szukać oparcia dla realizowania własnych koncepcji politycznych choćby one nawet nieraz u szlachty nie znajdowały uznania. Bobrzyński wiele napisał przykrych dla szlachty słów prawdy. On, jako historyk, wykazał, że niegodziwie postępowała w dawnej Polsce z ludem wiejskim. Bobrzyński wytykał jej nietolerancję wyznaniową i narodowościową oraz bezrząd, które Polskę doprowadziły do rozbiorów i utraty niepodległości. Bobrzyński wreszcie wykazał zgubną rolę Jezuitów i ich metod wychowania młodzieży szlacheckiej.

Jako praktyczny polityk był zwolennikiem ugody polsko-ruskiej, reform społecznych i politycznych, które by dźwigały rzesze włościańskie, wreszcie był przeciwnikiem żądań klerykałów galicyjskich, by szkolnictwo ludowe powierzono nauczycielom, rekrutującym się z organistów i diaków albo kształconym w seminariach klasztornych. Dlatego też Bobrzyński miał nieubłaganego przeciwnika głównie w łacińsko-katolickim episkopacie galicyjskim i w narodowej demokracji, która w oparciu o kler budowała swą siłę polityczną.

Różnych sposobów chwytali się endecy, aby podkopywać Bobrzyńskiego. W r. 1912 zrobili z niego podporę niemczyzny w Galicji. Dziś już nieżyjący ksiądz napisał w tym względzie list do posła Bojki, w którym przekonywał go, że Bobrzyński popiera niemczyznę dlatego, bo jest narzędziem arcybiskupa Bilczewskiego. Arcybiskup pochodził z Wilamowic, powiatu bialskiego z rodu Bibów. Ród ten zmienił nazwisko na Bilczewscy. Arcybiskup Bilczewski był znany z patriotyzmu polskiego, nie był jednak endekiem, jak np. arcybiskup Teodorowicz. Z listu owego księdza dowiedział się Bojko, że Bilczewski to... zaciekły Niemiec. „O ile mogłem — pisał mu ten księżyna — przez 30 lat duszpasterzowania w archidiecezji lwowskiej zauważyć i słyszeć na własne uszy, to jest tam pierwszym doradcą i pomocnikiem p. Bobrzyńskiego, jego były domowy nauczyciel dzieci ksiądz Józef Biba z Wilamowic, syn kołodzieja kolonisty, a dzięki swemu niemieckiemu sprytowi, za łaską i poparciem p. Bobrzyńskiego namiestnika dzisiejszego i byłego Leona Pinińskiego dzisiejszy arcybiskup lwowski. Jest to człowiek giętki, sprytny, przebiegły, który udając polaka patriotę, w gruncie jest zaciekłym niemcem... Otóż to jest najważniejszy czynnik, który na p. Bobrzyńskiego wpływa powoli systematycznie i czaruje. Co? Tu szukać należy źródła umizgów do niemców i niemczyzny. Pragnę się poznać z WPanem, a na to, co piszę mogę przysiądz. Sługa ks. M. Trębicki, Kraków ul. Garncarska 17/2 1912".

Szczęśliwi Bobrzyński i Bilczewski, że nie żyją. Nikt ich nie oskarża o „volksdeutschostwo", a że ks. Trębicki też nie żyje, więc odpadła i jego przysięga.

Zmontowany przez Bobrzyńskiego obok trzech stronnictw: ludowego, demokratycznego i prawicy narodowej, tzw. „blok namiestnikowski" realizował postępowy program naprawy stosunków politycznych i społecznych w Galicji w walce z narodową demokracją i „podolakami".

W r. 1909 przeprowadził Bobrzyński dłuższą konferencję ze Stapińskim na temat organizacji i prac stronnictwa ludowego. Przyznał, że stronnictwo rozrosło się, że w wielu powiatach odgrywa poważną rolę w samorządzie powiatowym i towarzystwach rolniczych, że tysiące zwierzchności gminnych, komitetów kościelnych i rad szkolnych miejscowych stoi ludowcami, jednak budowa ta jego zdaniem miała cechy doraźności, nie miała mocnych fundamentów i spoidła, które tworzyć powinni ludzie wiedzy, nauki, słowem wyszkolona inteligencja. Przestrzegał Stapińskiego przed opieraniem organizacji stronnictwa na biurokracji partyjnej, półinteligentach i różnych przygodnych „impresariach", którzy w chwilach ważnych i sytuacjach poważnych zamieniają się na dywersantów i „poganiaczy" cudzych bogów i cudzych interesów, a co im łatwo się udaje, gdyż przez taki element tworzona organizacja przedstawia wartość kupy piachu, którą wiatr roznosi. To też doradzał Bobrzyński, aby stronnictwo postarało się pozyskać grupę ludzi z wiedzą i nauką, niezależnych od nikogo, a przy tym, aby obok obrony interesów chłopskich stanowiących główne zadanie stronnictwa, związać ze stronnictwem także jakąś warstwę inteligencji, mającej styczność z ludem wiejskim, bronić interesów tej warstwy i przy jej pomocy umacniać włościańską organizację terenową. Na przykładach przegranych w r. 1900 i 1901 wyborów udowadniał Stapińskiemu, że brak tego spoidła — jak się wyraził — „cementu", był przyczyną przegrania wyborów.

Zanosiło się wówczas na wybory do parlamentu. Pod wpływem dorad Bobrzyńskiego Stapiński zaczął rozglądać się za owym „cementem". Niestety, nie znalazł go w żadnej inteligenckiej grupie. A oto, co sam Stapiński mówił o poszukiwaniu owego „cementu". Z góry był przekonany, że z żadną kategorią biurokracji współdziałanie nie będzie możliwe. W rachubę mogło wchodzić tylko nauczycielstwo, zwłaszcza szkół powszechnych, lekarze, inżynierzy i adwokaci. O ziemianach i księżach mowy być nie mogło, oni bowiem najżywiej zwalczali ruch ludowy.

Znaczna część nauczycielstwa, zorganizowana w Z. N. P. utrzymywała od kilku lat przyjazne stosunki z S. L., a prezes Z.N.P, Stanisław Nowak zapraszał Stapińskiego na zjazdy powiatowe czy okręgowe gdzie referował program stronnictwa i zapraszał uczestników do współpracy. Lecz rezultaty były dość nikłe. Zależność tu od starosty, tam od inspektora, ówdzie od różnych innych czynników krępowała jednych, drudzy mieli porachunki z chłopami na tle stosunków w gminie, a bardzo wielu nie chciało się trudzić pracą pozaszkolną. Druga część nauczycielstwa o wiele liczniejsza, a nauczycielki bez wyjątku wszystkie, ci utrzymywali ścisłe stosunki z klerem i powodowali się jego opinią także w sprawach politycznych, to też byli przeciwnikami S. L. Rozmawiał też Stapiński z posłami innych narodowości na ten temat. Słoweńcy, Rusini, Czesi, Niemcy jednomyślnie wszyscy na podstawie doświadczeń u siebie, odradzali wiązanie stronnictwa z nauczycielstwem szkół ludowych. Poseł Wasilko z Bukowiny, uważany w parlamencie za spryciarza nad spryciarzami, opowiadał Stapińskiemu, że on właśnie swoją organizację bukowińską oparł na nauczycielstwie ludowym, ale zawiódł się całkowicie, miał bowiem ustawiczne rokosze i secesje, mimo iż wywalczył dla tamtejszego nauczycielstwa płace i awanse zrównane z płacami urzędników państwowych. Zdaniem posła Wasilki przyczyna tego jeszcze ważniejsza była ta, że nauczycielstwo przywykłe do dyktowania swej opinii uczniom, nie znosiło odmiennego zdania w innych dziedzinach choćby ze strony fachowców, a najnieprzyjaźniej

Wydział Wykonawczy Rady Naczelnej P. S. L. „Lewica", stoją: Józef Bochenek, Tadeusz Sejb, Dr Józef Putek, Józef Sanojca, Józef Mateusz siedzą: Franciszek Wójcik, Jan Stapiński, Jakub Madej

*) Fragment przygotowanej do druku książki „Występy polityczne włościaństwa polskiego w latach 1848—1914".

Jerzy Edward Miller

STARE MIASTO W WARSZAWIE

Budowle powlekł całun,
na wiekowych drzwiach
bronzem zwietrzały
kotwice lat.

Na rynku w piłkę grały dzieci,
głuche uderzenia o beton
nawoływały jak w stuleci
bramę napół odemkniętą.

Ze straganów przenośnych
i ludzi zgiętych pod ciężarem
odkrywałem w rzutach ukośnych
zachowany barok.

U fasady katedry dewocjonalia,
posążki i cierniowe golgoty
przerażały sztuczną emalią
i bladym światłem pozłoty.

Kwiaciarnia na stłoczony mur
wydychała ziemi zapach,
aż wydały się martwe
pająki na pułapach.

Jak gipsowe parady
i kastratów chór
wyglądały kwiaty
wiązane kokardą,

czerwone kokardy, obok studni,
na wprost kościelnych krucht
i tekturowe puste pudła
i cynkowany drut —

mydlarnie woń gubiły,
a dalej placów oddech
przez wykusz, lub ścienny wyłom
przywiewał nurty Wisły.

I staromiejskie schody
wybiegały od szarości strun
ostrym konturem stopni
w głębokość lochu, w stromy dół,
w odwrócony lodowy sopel.

Czerwienią, która
jak krew plamiła gonty
na niebo wpełzły chmury
odkrywszy glossę frontu.

i „ROPA" ludowego w Polsce*)

odnosiło się do kolegów pracujących w tym samym zawodzie. To powodowało długie dyskusje i utrudniało pracę. Doświadczenie z wyborów w Galicji dowodziło trafności spostrzeżeń, gdyż kandydatury nauczycielskie, wysuwane przez ludowców, najzajadlej zwalczane bywały przez samo nauczycielstwo. To też nauczycielstwo w sejmie nigdy swego posła - nauczyciela nie miało. Były to skutki ówczesnego wychowania w seminariach i internatach nauczycielskich, pozostających pod kierownictwem duchowieństwa lub jemu uległych dyrektorów.

Poszukiwanie „cementu" wśród lekarzy, rozpoczęło się od konferencji z dr Szymonem Bernadzikowskim, lekarzem, posłem sejmowym i członkiem Wydziału krajowego departamentu sanitarnego. Dr Bernadzikowski syn chłopski, lekarz w Brzesku, już w r. 1896 wybrany został do Sejmu i był prezesem pierwszego klubu posłów ludowców. Stapiński przedstawił mu opinię Bobrzyńskiego i zapytał, czy lekarze nie nadawaliby się na „cement". Odpowiedź była przecząca. „Organista widzi organy i na księżycu, a lekarz wszędzie chorych ludzi" — mówił dr Bernadzikowski. Gdyby celem stronnictwa było wyszukiwanie chorych, budowa szpitali, to lekarze w tym by pomogli. Ale że tak nie jest i nie będzie, więc dlatego lekarze nie mogą być owym „cementem". Zresztą ani lekarze nie pchają się do takiego apostolstwa, ani chłopów nie stać na tak kosztowny „cement". Owszem, potrzeba kilku lekarzy posłów, trafią sie lekarze-działacze ofiarni, ale będą to wyjątki. Zasadniczo ani stronnictwo nie może podjąć się generalnego zastępstwa interesów lekarzy, ani lekarze nie mogą się zamienić na polityków stronnictwa ludowego, tym bardziej, że sumienny lekarz musi stale uzupełniać swoje wiadomości zawodowe studiowaniem dzieł i pism lekarskich, jeżeli chce swoich pacjentów rzetelnie obsłużyć, to też brak mu czasu na zajmowanie się polityką.

Po takich przekonywujących argumentach odbył Stapiński konferencję z posłem Andrzejem Kędziorem, długoletnim dyrektorem Biura melioracyjnego przy wydziale krajowym, uznawanym przez wszystkich fachowców techników za ich przedstawiciela. Kędziora, syna chłopskiego z powiatu mieleckiego, namówił Stapiński do przyjęcia mandatu poselskiego w r. 1908 celem uzyskania fachowej siły dla referowania w sejmie spraw melioracyjno-rolnych. Kędzior zapytany, co sądzi o zaproszeniu inżynierów, geometrów i w ogóle techników do S. L. w charakterze „cementu", odradził stanowczo. Uzasadniał to tym, że wykształcenie techniczne nastręcza duże trudności w roz-



Zygmunt hr. Lasocki — obszarnik poseł z ramienia „Piasta"



Mikołaj hr. Rej — obszarnik poseł z ramienia „Piasta"

wiązywaniu różnych zagadnień politycznych. Technika jest bowiem nauką ścisłą, a polityka nie znosi ścisłości, gdyż wymaga umiejętności wyczuwania sytuacji i natychmiastowych decyzji, często z góry nie dających się obliczyć. Technicy bywają zazwyczaj uparci w swoich obliczeniach, a polityka jest sztuką przewidywania i kompromisów. Siebie samego przedstawił Kędzior na dowód, jak trudno technikowi nagiąć się do wymogów polityki. Sprawy partyjne i walka stronnictw nużyła go bowiem jako strata czasu. O trafności tych spostrzeżeń przekonał się Stapiński na osobie tego samego Kędziora, którego naiwność polityczna użyta została do rozbicia stronnictwa ludowego.

Pozostali jeszcze adwokaci. O nich miał Stapiński opinię wyrobioną na podstawie doświadczenia. Stwierdził, że były między nimi jednostki dość liczne, rzetelnie pomagające chłopom poradą prawną w sprawach majątkowych i innych, ale ci ludowcy mieli do zwalczania nierzetelną konkurencję innych adwokatów, chłopi zaś nie mieli koniecznego zrozumienia dla hasła: „swój do swego!" Jednak w najcięższych dla ruchu ludowego czasach znaleźli się adwokaci-ludowcy, których biura stały się ośrodkiem roboty organizacyjnej stronnictwa. W Krakowie adwokat dr Jan Szaflarski oddał się w zupełności sprawom stronnictwa ludowego, wydawał nawet swoim kosztem dwutygodnik „Głos ludu polskiego" dla wzmożenia organizacji stronnictwa w krakowskim i sąsiednich powiatach. W Rzeszowie był adwokat dr Roman Krogulski, w Andrychowie dr Jan Malec, w Bochni adw. Wcisło, w Jaśle adw. Jan Michnik, w Żmigrodzie notariusz Florian Obmiński, w Brzozowie adw. Wincenty Daniec, w Samborze adwokat Synowiecki, w Jaworowie adw. Hibl, oddali oni olbrzymią pomoc ruchowi ludowemu bezinteresowną pracą w początkowym okresie organizacji. W r. 1897 adwokat dr Winkowski z Tarnowa wybrany został posłem ludowym **), a dr. Karol Lewakowski również adwokat był pierwszym prezesem S.L. We Lwowie adwokat dr Michał Grek, początkowo poseł stronnictwa demokratycznego, a później ludowiec i wiceprezes SL., był stałym obrońcą ludowców w dziesiątkach procesów politycznych we Lwowie, Rzeszowie, Jaśle itd. Wszystko to stanowiło dowód, że spośród zawodów inteligenckich, jedynie spory zastęp adwokatów przyczyniał się do „cementowania" ruchu ludowego. Szersze zespolenie tego zawodu z ruchem ludowym było niemożliwe ze względu na to, iż wielu spośród adwokatów zajmowało się — niestety — groszoróbstwem i popieraniem pieniactwa.

Te poszukiwania za „cementem" upewniły Stapińskiego, a z nim wszystkich szczerze ludowej sprawie oddanych działaczy, że w walce o sprawiedliwość społeczną, niezawisłość gospodarczą i należne miejsce w narodzie chłopi mogą liczyć wyłącznie na własne siły. Im silniejszą chłopi zbudują organizację polityczną, tym więcej znajdzie się jednostek z innych zawodów, które będą utrzymywać przyjazne stosunki z rzeszą chłopską. Nie można jednak liczyć — twierdził Stapiński — na pomoc znaczniejszej ilości jednostek pochodzenia chłopskiego, bo życie w innym środowisku, praca w innym zawodzie odciąga je od środowiska chłopskiego, wymogi zaś własnej egzystencji i troska o losy własnego potomstwa każe im łączyć się z tymi i tych popierać, którzy za cel swój obrali obronę ich spraw i ich interesów. Dlatego „synowie wsi" najczęściej znajdą się w szeregach tych partii, które ruch chłopski niezależny zwalczają.

Mimo braku inteligenckiego „cementu" ludowcy wygrali w r. 1911 wybory do parlamentu. „Cement" zastąpiła ofiarna praca chłopów-polityków, chłopów-publicystów, chłopów-działaczy, a endeckie przeszkody pomógł ominąć i zwalczyć namiestnik Bobrzyński.

Zanim Stapiński pomyślał o „cemencie", już miał w stronnictwie „ropę" a po wyborach w r. 1911 doszedł do niej „spirytus". W toku akcji wyborczej do sejmu w r. 1908 zjawił się u Stapińskiego przedsiębiorca naftowy, właściciel wielu kopalń ropy Władysław Długosz. Oświadczył on, że przemysłowcy naftowi chcą mieć swego przedstawiciela w sejmie i że polecili mu kandydować w powiecie gorlickim. P. Długosz, aktywny członek stronnictwa demokratyczno-narodowego udał się wpierw do namiestnika Potockiego z prośbą o poparcie jego kandydatury, jednak namiestnik oświadczył, że endeka nie poprze. Wobec tego p. Długosz wziął od narodowej demokracji „urlop" na nieoznaczony czas i zgłosił się z chęcią przystąpienia do stronnictwa ludowego. Stapiński przyjęcia Długosza do stronnictwa odmówił, Długosz jednak oświadczył, że zakandyduje na własną rękę, bo jest świadom, że powiat gorlicki pragnie go widzieć na stanowisku poselskim, i prosił o nieatakowanie go, bo po zwycięstwie utrudniłoby mu to zgłoszenie przynależności do stronnictwa ludowego. Stapiński niczego nie przyrzekł, a nawet w „Przyjacielu Ludu" kandydaturę Długosza ostro zaatakował. Zaszła przy pożegnaniu się Długosza ze Stapińskim w jego mieszkaniu tragikomiczna scena. Gdy Długosz, człowiek zażywny, poruszył się na krześle, krzesło rozsypało się i Długosz jak długi runął na ziemię. Stapiński traktował to jako „ostrzegawczy omen". Długosz rzeczywiście został wybrany posłem, zgłosił się do klubu SL. i klub przyjął go w poczet swoich członków. W ten sposób nabyło stronnictwo reakcyjno-kapitalistyczną **„wtyczkę endecką"**.

Do tej doszły jeszcze wtyczki inne. Przede wszystkim upatrzona wtyczka klerykalna, jaką był hrabia z nominacji papieskiej Lasocki. Tak, jak sumiennie pilnował swych obowiązków jako starosta w Tarnobrzegu, również pilnował w stronnictwie „ducha katolickiego", walczył z masonerią. Na posiedzeniach rady naczelnej zaśmiewali się ludzie, gdy ich raczył adresami lóż masońskich we Lwowie, tolerowanych przez Bobrzyńskiego. Dotąd był „prawą ręką" Stapińskiego, dopóki Stapiński nie poruszał spraw proboszczowskich w „Przyjacielu Ludu". Była i trzecia wtyczka w osobie hrabiego Reja obszarnika i gorzelnika. Kandydował w pilzneńskim okręgu na program „niezależnego ludowca", mandat uzyskał, a potem zgłosił się do klubu ludowców i został przyjęty, wbrew woli Stapińskiego. Zastępował on i bronił interesów gorzelnianych, bonifikacji spirytusowych itp. „spraw krajowych" wielkich właścicieli ziemskich. Obok tych ważniejszych „wtyczek", znalazły się też w stronnictwie zwykłe „kołki w płocie". Do takich należał inżynier nafciarz, przyjaciel Długosza, Angerman, należał i do nich endek z Kalwarii sędzia Banaś, który przy pomocy korrupcji uzyskał mandat w okręgu kalwaryjskim. Wszystkie te elementy klub przyjmował i pęczniał liczbą członków, chociaż już były znaki, że to pęcznienie zagraża pęknięciem, gdyż światopogląd tych nowych ludowców był inny niż tych, którzy za sprawę ludową walczyli i cierpieli.

Ze względu na liczbę posłów (24) stronnictwo stało się najsilniejszym ugrupowaniem w kole polskim i przeszedł też na nie obowiązek uczestniczenia w rządzeniu państwem. Wyrazem tego miało być uczestnictwo w rządzie centralnym przez przedstawiciela w osobie ministra dla Galicji. Ministrem tym został Długosz i w dość osobliwy sposób.

Nadawał on się może na obrońcę krajowego przemysłu, lecz nie nadawał się na obrońcę interesów małorolnego chłopstwa i stronnictwo nie takiego chciało mieć ministra. Wysuwano kandydaturę Stapińskiego, nie zgodził się na nią cesarz Franciszek Józef, osoba bowiem Stapińskiego, chłopskiego radykała, nie podobała się konserwatywnemu i klerykalnemu monarsze. Wysunięto kandydaturę dr Ignacego Wróbla syna chłopskiego i posła. I tej kandydatury cesarz nie akceptował. Pokazano mu bowiem fotografię dr Wróbla, przedstawiającą go na koniu w chłopskiej sukmanie. Wreszcie podsunięto kandydaturę Długosza, z ostrożności dopisano jednak przy jego nazwisku „von", co miało wskazywać na szlacheckie pochodzenie Długosza. To chwyciło. Cesarz podpisał akt nominacji i „von Długosz" został odrazu ministrem i szlachcicem.

W ten sposób rozpoczęła się „realna polityka", „sztuka rządzenia państwem" przez stronnictwo, które dotąd żyło radykalną agitacją polityczną i społeczną, które z konieczności organizacyjnej rozbudzać zaczęło daleko sięgające nadzieje na natychmiastową poprawę stosunków w kraju i zmianę doli ludu. Po raz pierwszy polskie chłopskie stronnictwo wprzągnięte zostało w rydwan państwowej polityki i zdać miało egzamin z tej wielkiej próby.

Już nie lata, ale następne miesiące pokazały, że stronnictwo do tej roli nie było przygotowane, działacze stronnictwa ciężki mieli żywot, gdy przed masami podburzonymi przez odsuniętych od władzy endeków wykazywaniem sprzeczności między hasłami wyborczymi a rzeczywistością dnia powszedniego, tłumaczyć się musieli, dlaczego nadzieje związane z wyborami jeszcze się nie ziszczają. Do akcji endeckiej przeciw ludowcom przyłączała się też dywersja lwowskiej grupy ludowców Wysłoucha Dąbskiego. Zwłaszcza Dąbski od trzech lat dolewał oliwy do ognia w nadziei, że wysadzi z siodła Stapińskiego i ster stronnictwa po nim obejmie. Stało się przeciwnie. Już na kongresie w Tarnowie w r. 1910 grupa ta przegrała, a Stapiński, faktyczny przywódca stronnictwa prawie jednomyślnie wybrany został wówczas „cezarem" stronnictwa, obejmując jego prezesurę po Henryku Rewakowiczu. Tak wówczas, jak i później niezadowolenie masy ludowej kierowało się nie przeciw Stapińskiemu, lecz przeciw reakcyjnym „wtyczkom", które posądzano o pchanie stronnictwa w objęcia galicyjskiego wstecznictwa i zbyt daleko posuniętej ustępliwości. Nawet Witos wskazywał na Długosza, hr. Reja, hr. Lasockiego i dr Stefczyka, jako przedstawicieli reakcyjnego kierunku w stronnictwie ludowym. Nie lepszą opinią cieszył się u niego Średniawski. Redakcję „Przyjaciela Ludu" podówczas prowadzili Fryderyk Kraicki, Józef Putek i Józef Sanojca. Pismo prowadzone było na sposób taki, w jakim prowadził je dawniej wzorowy redaktor Stapiński. Zabierali głos w nim przeważnie młodsi publicyści chłopscy, jak Witos, Kaźmierczak, Grabowski, Padło, Wołoszczak, Czech, Perek. Po drugiej stronie barykady stali także chłopscy publicyści i literaci endeccy spod znaku ks. Stojałowskiego, jak Nocek Jantek z Bugaja, Czuła Maciej, Madejczyk Jan.

(C. d. n.)

**) Spoczywa na cmentarzu w Podgórzu, a na pomniku, ufundowanym przez włościan, jest taki wiersz posła Bojki:

„Cierniową drogą szedłeś całe życie
Walcząc o lepszą przyszłość swojej braci,
Ległeś w mogile w żywota rozkwicie,
O! niech ci za to Bóg niebem zapłaci".

Jan Nagrabiecki

DO CZŁOWIEKA IDĄCEGO Z PRACY

Człowieku idący, umazany nocą —
coś właśnie udawał gwiazdę papierosem,
gdy noc jak ulica cicha i martwa,
jak światło górskie cieniami podarte,
wyprostuj ramię idący, dotykaj
powietrza, muru, pomnika.
Uwalany nocą świat jest kliszą,
szkłem zastygłych luster, co nad ziemią wiszą.
W tych lustrach odbija się serc mieszkanie,
stosunki wzajemnego przyciągania i mijania
liczby, dźwięku, materii martwej i żywej,
księżyca, ryby, zajęcy i myśliwych
i wiersze o tobie idący człowieku
są jak ptasie mrugnięcia powieką.
Ale czas to liczydło i stojący goniec,
zegar, chorągiewka ziemi, furtka latająca.
Mijasz z dniem i ziemią i niebem
podwijając rękawy do pracy, do chleba,
pływasz w kolorach, powietrzu i dymie,
w świetle i cieniu kujesz swe szyny.
Walczysz z wiatrakiem piszącym po niebie,
z twej ręki wschodzi jak słońce gleba.
Codzienne dłonie, które czują tkliwość
hartuje kamień, żelazne ogniwa.
Oczy w kolor, podniebienie w smak,
palce płomienne w drogi, domy zakuł.
Idący człowieku, twórco rzeczy i zdań,
na mieście z szynami odpocznij, stań!
Patrz jak noc czarne ma dzisiaj warkocze
i świat z tobą jak wróble światełkami świergocze.

Maria Kruczkowska

FRANCJA W LA

CHARAKTERYSTYKA ŻYCIA GOSPODARCZEGO

Charakteryzując najogólniej życie gospodarcze we Francji w latach od 1830 do 1848 można powiedzieć, że nie przedstawiało się ono tak źle, jak twierdzili przeciwnicy monarchii lipcowej, a nawet przeciwnie, można zaryzykować twierdzenie, że lata te stanowiły okres pomyślnej koniunktury gospodarczej.

Ożywienie życia gospodarczego we Francji zaznaczyło się wkrótce po upadku Napoleona i jest rzeczą charakterystyczną, że z ruiny gospodarczej, spowodowanej długoletnimi wojnami, Francja szybciej się podniosła, niż jej przeciwnicy.

Nie ulega też wątpliwości, że kryzysy agrarne w latach 1816, 1826 i 1827 bardzo zachwiały podstawami życia gospodarczego Francji, wywołały jednak w tym kraju znacznie lżejsze skutki, niż w innych stronach Europy.

Fakty te świadczą o pewnych trwałych podstawach życia gospodarczego już za restauracji, a za monarchii lipcowej życie to przejawiało jeszcze szybsze tempo.

Rewolucja lipcowa 1830 r. została spowodowana raczej przyczynami natury politycznej niż gospodarczej.

Dla zrozumienia tego trzeba sobie uprzytomnić, że od wielkiej rewolucji burżuazja i drobne mieszczaństwo nie zadawalało się tylko postępami gospodarczymi, ale dążyło zdecydowanie do zdobycia wpływów na rządy w kraju i polityce. Tymczasem Burboni, jakkolwiek dużo zawdzięczali burżuazji w odzyskaniu tronu, nie zapewnili jej tych wpływów. Karol X przez zmianę prawa wyborczego na korzyść najwyżej opodatkowanych wielkich właścicieli ziemskich odsunął od życia politycznego nietylko średnio zamożne ale i bogate mieszczaństwo. To wywołało w burżuazji rozgoryczenie i dążenie do przewrotu, który by zmienił taki stan rzeczy.

Niezadowolenie głównych okręgów gospodarczych z powodu zaciągania pożyczek przez rząd, zła gospodarka podczas wojny hiszpańskiej, w końcu kryzys gospodarczy w latach 1826 i 1827 pogłębiły tylko zawiść w stosunku do rządów i przyśpieszyły wybuch rewolucji, która już od dawna była przygotowana w łonie samej burżuazji.

Wyniesiony przez rewolucję na tron, Ludwik Filip nie mógł się powołać na legitymizm, dlatego też był zmuszony szukać sobie zwolenników i zdobyć popularność w inny sposób. To dało burżuazji okazję do zajęcia pozycji w kraju, o którą oddawna zabiegała.

Czasy monarchii lipcowej są okresem panowania burżuazji, przed którą musiała ustąpić dawna szlachta krwi, niezdolna przystosować się do nowych warunków.

Burżuazja zdobyła nietylko wpływy polityczne, ale i oparcie w silnie uzbrojonej gwardii narodowej, oraz przewodnictwo w życiu gospodarczym. Dlatego też stała się głównym czynnikiem w państwie i jedyną podporą Ludwika Filipa.

Wkrótce zatarły się nawet dawne różnice stanowe pomiędzy burżuazją a arystokracją na skutek koligacenia się właścicieli wielkich fortun z przedstawicielami „błękitnej krwi".

Już w 1834 r. liczba przedstawicieli wielkich własności ziemskich ustąpiła przed liczbą reprezentantów przemysłu i handlu w izbie deputowanych.

Tak nastały czasy burżuazji, ale tylko górna jej warstwa dotarła do steru rządów, natomiast drobne mieszczaństwo pozostało przy starych uprawnieniach.

Ze zwycięstwem burżuazji nastąpiło ożywienie życia gospodarczego, zwłaszcza w dziedzinie przemysłu i handlu, gdyż — dysponując zasobnym kapitałem i dążąc do jak największego wzbogacenia się — burżuazja francuska rozbudowywała swoje przedsiębiorstwa, zwiększała produkcję, a dla skuteczniejszej konkurencji z przemysłem angielskim, starała się podnieść jakość swoich wyrobów, przez stosowanie ulepszeń i nowych urządzeń technicznych, co miało pomyślny wpływ na ogólny poziom przemysłu francuskiego, a mając decydujący wpływ w rządach, umiała bronić jego interesów.



'Adoracja Ludwika Filipa
(karykatura de Grandville'a — czerwiec 1832)



„Najpierw upuścić krew, później przeczyścić"
Karykatura Daumier'a, obrazująca politykę ekonomiczną rządu.

ROLNICTWO

Pomimo pomyślnego rozwoju przemysłu i handlu za monarchii lipcowej, wprawdzie daleko powolniejszego niż w Anglii, Francja przez długi okres czasu była krajem wybitnie rolniczym. Potwierdzają to dane statystyczne, które wykazują, że jeszcze w 1846 r. we Francji na ogólną liczbę mieszkańców 35,4 mil. ludność wiejska stanowiła 72 proc. Z tego względu należałoby najpierw rolnictwu poświęcić kilka uwag.

Jeśli chodzi o tę dziedzinę życia gospodarczego, to postępy i zdobycze rewolucyjne osiągnęły na tym polu może najmniejsze wyniki. Aż do 1840 r. francuska gospodarka rolna całkiem przypominała przedrewolucyjną, chociaż sytuacja chłopów poprawiła się na skutek zniesienia praw szlacheckich i rozsprzedaży dóbr narodowych. Przyczyny tego zjawiska należy się w tym dopatrywać, że podupadłe podczas długoletnich wojen napoleońskich gospodarstwa rolne dotknęły ciężkie kryzysy agrarne w latach 1816, 1826 i 1827 które nawiedziły całą Europę, po drugie Burboni nie uczynili niczego w kierunku podniesienia gospodarki rolnej. Ich opieka nad rolnictwem ograniczyła się tylko do zabezpieczenia interesów wielkich właścicieli ziemskich przez wprowadzanie ceł ochronnych w zależności od potrzeb chwili. I tak np. w okresie wielkich urodzajów wywóz zboża został uwolniony od opłat przy równoczesnym wprowadzeniu wysokich ceł na zboża importowane. Ten manewr miał nie dopuścić do zbytniej obniżki cen w kraju, co by godziło w interes wielkich właścicieli ziemskich.

Zabiegi te nie odniosły jednak oczekiwanego skutku, gdyż kapitaliści ziemscy w nadziei, że przy systemie protekcyjnym będą mogli czerpać tym większe zyski, im więcej zboża wypuszczą na rynek, zwiększali obszary zasiewów, a na skutek większej podaży, cena zboża znacznie spadła. Kryzys ten dał się we znaki przede wszystkim bogatemu ziemiaństwu, drobnych rolników prawie nie dotknął, w sytuacji zaś robotników odbił się dodatnio.

Właściciele folwarków mało zabiegali około podniesienia poziomu gospodarki rolnej i udoskonalenia samej jej techniki. Chętniej wydzierżawiali swoje posiadłości w małych kawałkach drobnym rolnikom, którzy korzystali z tej okoliczności, aby powiększyć własne, daleko za małe gospodarstwa rolne. Ten stan rzeczy sprzyjał rozwojowi drobnych posiadłości ziemskich, które były za biedne, aby stosować techniczne wynalazki w dziedzinie uprawy ziemi. To też ciągle były jeszcze w użyciu dawne metody gospodarowania, pomimo rozpowszechniania się w zamożniejszych okolicach zasiewu traw, wzięcia pod uprawę znacznych przestrzeni wykarczowanych nowin i rozwoju niektórych plantacji, jak kartofle i buraki cukrowe.

Wielce też niepomyślne skutki w rozwoju gospodarstw rolnych miało rozdrabnianie ziemi drogą spadku.

Za panowania Ludwika Filipa obserwujemy wyraźne zjawisko polepszenia się sytuacji w gospodarstwach rolnych.

W 1830 r. kryzys agrarny został opanowany.

Powracający z emigracji do kraju wielcy właściciele ziemscy przywozili z sobą cały zapas wiedzy w dziedzinie doskonałej uprawy roli, z większym zainteresowaniem starali się podnieść poziom gospodarstw rolnych przez stosowanie sztucznych nawozów, zamianę trójpolówki na płodozmian, karczowanie nowin, zakładanie sztucznych łąk, uprawę plantacyj, wreszcie przez podniesienie hodowli bydła drogą zastosowania doboru ras. W ten sposób najnowsze osiągnięcia na polu kultury rolnej rozpowszechniały się po całym kraju, zachęcając do naśladownictwa i drobniejszych właścicieli , co wpłynęło wyraźnie na wzmożenie się tętna życia gospodarki rolnej. W Normandii do 1850 r. ugory zanikły zupełnie, zastąpione uprawą rzepy i buraków cukrowych, a zamiast plantacji winorośli, dla której klimat jest tu nieodpowiedni, zakładało się sady.

Podobny postęp miał miejsce nad dolną Sekwaną, gdzie ugory przeorano i osuszono bagna.

Nad górną Garonną, podobnie jak i w departamencie Maine i Loire, postęp zakreślił jeszcze szersze kręgi, gdzie nawet pustkowie obsiano koniczyną i obsadzono kartoflami.

Nawet w dolnym biegu Marny, gdzie gospodarka rolna była najbardziej zaniedbana, ilość ugorów zmniejszyła się na przestrzeni lat od 1832 r. do 1852 r. ze 157 tys. do 90 tys. ha, t. zn. o 43 proc..

W okolicach postępowych łany pszenicy wypierały żyto, a wydajność 1 ha ziemi podniosła się z 12,92 na 14,27 hl.

Również podniósł się w tych okolicach i stan bydła dzięki rozpowszechnieniu zasiewu traw, co umożliwiło zaopatrywanie hodowli w dostateczną ilość paszy.

Na szczególną jednak uwagę zasługuje rozkwit cukrownictwa, który miał miejsce zwłaszcza nad Sommą i w okolicach Calais. Olbrzymie połacie ziemi zostały oddane tu pod uprawę buraków cukrowych. Cukier buraczany nietylko. konkuruje pomyślnie z cukrem trzcinowym, ale wkrótce wypiera go w ogóle z rynków. Niemałe też znaczenie dla rozwoju cukrownictwa miało wprowadzenie wysokich ceł na cukier trzcinowy. W 1843 r. nastąpił pewien zastój w cukrownictwie, ponieważ rząd zrównał cenę cukru trzcinowego z ceną cukru buraczanego, co wywołało kryzys w przemyśle cukrowniczym, w konsekwencji czego 163 cukrowni zostało zamkniętych, a produkcja cukru spadła z 40 na 23 mil. kg. Kryzys ten jednak wkrótce został opanowany i już w 1847 r. istniało 400 cukrowni z roczną produkcją 52 mil. kg.

Ten postęp na polu gospodarki rolnej zawdzięczało się i temu, że Ludwik Filip, w przeciwieństwie do Burbonów, nie skąpił.zabiegów i wydatków około podniesienia jej poziomu.

Od 1830 r. z polecenia rządu zakładało się stacje doświadczalne nad uprawą pszenicy i jęczmienia, oraz państwowe hodowle bydła, zwłaszcza krów dojnych. Zainteresowanie rolnictwem coraz bardziej wzrastało. W 1836 r. powstało ministerstwo rolnictwa i handlu. Dla opracowania kodeksu rolnego została powołana specjalna komisja, która w dużym stopniu przyczyniła się do rozwoju gospodarki rolnej. Podobne komisje powstawały po prowincjach i poszczególnych okręgach, a rząd finansował różne przedsięwzięcia związków rolniczych w kierunku dostarczenia ulepszonych i tanich narzędzi.

Niemałe też znaczenie miało zastosowanie wiedzy do rolnictwa, co znalazło swój wyraz w zwróceniu uwagi na szkoły gospodarcze i uprzystępnieniu nauki w nich szerszym rzeszom młodzieży wiejskiej. Od 1837 r. wychodziła nawet specjalna gazeta, poświęcona zagadnieniom rolniczym, pt. „Journal d'agriculture".

Szczególną zmianę na korzyść daje się zaobserwować po 1840 r. i w tym wypadku zasługę należy przypisać rozbudowie dróg komunikacyjnych, dzięki czemu można było przywozić z odległych stron nawozy sztuczne, a jednocześnie zbywać produkty rolne na dalekich, ale dobrze płatnych rynkach.

Postęp gospodarczy na polu rolnictwa nie objął jednak całego kraju. Pomiędzy zachodem, który szybciej przyjmował wszelkie inowacje w kierunku racjonalniejszej uprawy roli, a wschodem, zarysowuje się duża różnica. Obszary wschodnie i północno-wschodnie mało się zmieniły. Tutaj usuwanie karczowin i stosowanie ulepszeń było zjawiskiem rzadkim. Większość gruntów — to przeciętnej jakości łąki nie umożliwiające nawet dobrej hodowli bydła. W większej części okolic od czasów starego reżimu prawie nic się nie zmieniło. Obszary obsiewne były za małe, aby pokryć zapotrzebowanie rynku regionalnego. Brak nawozów, stosowanie dawnych metod uprawy ziemi i przestarzałych narzędzi nie wpływał bynajmniej na przyrost wydajności ziemi, przez co niedobór w płodach rolnych z każdym rokiem wzrastał.

Niewesoły obraz przedstawiały również drobne gospodarstwa rolne. Nędza szła tu w parze z zacofaniem a nawet z pewnym oporem do wszelkiego rodzaju nowości. Drobny rolnik, jeśli nawet uzyskał pewien większy dochód ze sprzedaży nadwyżki płodów rolnych w okresie urodzajów, to za te pieniądze wolał powiększyć swoje gospodarstwo, niż ulepszyć je technicznie.

Zresztą brak kredytów państwowych uniemożliwiał mu zakup i stosowanie nawozów sztucznych i koszta transportu były dla niego za wysokie.

Narzędzia rolnicze, stosowane przez drobnych gospodarzy, były rzadko ulepszane. Prawie powszechnie spotykało się u nich krótkie brony, przestarzałe pługi, sierpy częściej niż kosy.

Stopa życiowa na wsiach była bardzo niska. Nędza i głód były często spotykanym zjawiskiem. Drobny rolnik najczęściej nie jadał chleba pszennego, bo pszenicę musiał sprzedać, a sam zadawalał się żytem lub gryką. Mięso było bardzo rzadkim przysmakiem i to conajwyżej w postaci wiejskiej kiełbasy.

W bardziej odległych dzielnicach, jak Bretania a nawet Anjou, warunki życiowe drobnych rolników całkiem przypominały jeszcze wiek XVIII.

Znawcy stosunków gospodarczych we Francji zgodnie twierdzą, że stan rolnictwa we Francji w pierwszej połowie XIX w., pomimo dość znacznego kroku naprzód, nie był zadawalający.

Produkcja rolna nie zaspakajała potrzeb rynku wewnętrznego, a nieurodzaje powodowały nawet głód. Z tego powodu dochodziło w okresach kryzysów agrarnych do rozruchów w różnych częściach kraju, ludność gwałtem sprzeciwiała się wywozowi zbóż nawet z dzielnicy do dzielnicy, w obawie przed głodem. Często rozruchy te udawało się uśmierzyć dopiero przy pomocy wojska. Kryzysy agrarne, powtarzające się co jakiś czas, uniemożliwiały przede wszystkim dostateczne zaopatrywanie miast w żywność. Nawet w urodzajnej Alzacji w 1840 r. plony były za małe, aby zaspokoić potrzeby ludności tej dzielnicy i z tego powodu dochodziło w niektórych miastach do poważnych zamieszek. Sytuację jeszcze bardziej zaostrzało zdzierstwo lichwiarzy i spekulantów.

Kryzys agrarny osiągnął punkt kulminacyjny w 1847 r. Na skutek wylewu Loary, Rodanu i Saony zasiewy zostały zatopione, a nadmiar wód spowodował chorobę ziemniaków, głównego artykułu żywnościowego miast, gdzie koncentrowały się tysiące ludu pracującego, najbardziej skłonnego do rozruchów.

Sumując poprzednio wypowiedziane uwagi o stanie rolnictwa, jeszcze raz podkreślam, że chociaż za monarchii lipcowej obserwuje się nawet dość znaczny w porównaniu do czasów poprzednich postęp w stanie rolnictwa we Francji, nie objął on jednak szerokich mas drobnych rolników, ograniczył się do pewnych dzielnic i to w większych posiadłościach ziemskich. Ponieważ zaś drobne gospodarstwa rolne przeważały w tym okresie we Francji, wpłynęły one decydująco na ogólną sytuację rolnictwa w kraju.

Wprawdzie 37 proc. ogólnej powierzchni kraju oddano pod uprawę, jednak na skutek ciągle dominującego zacofania, stosowania przestarzałych narzędzi i ubóstwa drobnych rolników, plony nie wzrastały równomiernie ze wzrostem zapotrzebowania na nie ciągle przybywającej do miast ludności, w konsekwencji czego doszło do wielkiej klęski głodowej 1847 r., która stała się jedną z głównych i bezpośrednich przyczyn rewolucji lutowej 1848 r.

PRZEMYSŁ

O ile na polu rolnictwa widzieliśmy duże braki i niedomagania, o tyle przemysł francuski za monarchii lipcowej przedstawiał całkiem dodatni obraz.

Pokładane przez burżuazję nadzieje w przywróconej monarchii nie zostały zawiedzione, pokojowa polityka Ludwika Filipa zapewniła spokój, tak upragniony dla odbudowy życia gospodarczego Francji. Czasy monarchii lipcowej są okresem pomyślnego rozwoju przemysłu francuskiego, niczym niepohamowanego wewnątrz kraju, a na zewnątrz osłanianego systemem protekcyjnym.

Wraz z rozwojem przemysłu postępował dobrobyt w kraju, ale niestety, nie objął on szerokich mas robotniczych.

Wprawdzie pomyślny rozwój przemysłu zaznaczył się już za restauracji, nie osiągnął jednak wówczas jeszcze tego tempa, co za monarchii lipcowej. Pewne korzystne przeobrażenie w samej produkcji nastąpiło zaraz po upadku Napoleona, a mianowicie zerwanie z dawnym przepychem i luksusem dworskim, a przystosowanie się do potrzeb szerokich mas. Wielkie też znaczenie miało dla rozwoju przemysłu, a zwłaszcza rzemiosła, zniesienie organizacji cechowej. Przeobrażenie to nastąpiło jeszcze wtedy, kiedy podstawą przemysłu francuskiego były drobne i liczne warsztaty domowe, którym łatwiej było dostosować się do potrzeb chwili i zwrócić uwagę na podniesienie jakości towarów. Dbając w myśl zasad Colberta o dobrą jakość rękodzielnictwo miało zapewniony rynek zbytu nietylko w kraju, ale i za granicą. Wielkim popytem cieszyły się zwłaszcza niezrównane jedwabie francuskie.

Począwszy od rewolucji lipcowej w przemyśle francuskim następowało przeobrażenie — przejście przemysłu chałupniczego w wiel-

TACH 1830-1848



„Pochodnia prasy" — rys. Grandville'a z r. 1834. „Dmuchajcie, dmuchajcie — i tak nigdy jej nie zgaścicie"!



Prospekt kolei żelaznej. Orlean 1843

ki przemysł fabryczny. Oczywiście proces ten przebiegał powoli i różnie w poszczególnych gałęziach tego przemysłu.

Pomimo pomyślnego rozwoju na wszystkich odcinkach przemysłu francuskiego za monarchii lipcowej, podstawą jego był w dalszym ciągu przemysł włókienniczy, mówiąc ściślej — przemysł bawełniany. To nie oznacza jednak, że przodująca dotychczas gałąź przemysłu włókienniczego — przemysł jedwabniczy stracił na znaczeniu. Przeciwnie, rozwijał się on nadal pomyślnie, a przez zastosowanie warsztatów żakardowych udało się nawet zwiększyć jego produkcję i spopularyzować jedwab, tak, że nie był on już uważany za luksus warstw zamożnych. Ponieważ jednak był on najbardziej wrażliwy na wpływy i kaprysy mody, przez to najbardziej narażony na kryzys.

Opieka rządu nad przemysłem krajowym, polegająca na utrudnianiu importowania towarów zagranicznych przez nakładanie na nie wysokich ceł, z jednej strony chroniła przemysł rodzimy przed konkurencją, z drugiej zaś strony opóźniała proces mechanizowania zakładów przemysłowych. Bowiem producenci, mając zapewniony popyt na swoje towary, mało zabiegali początkowo około podniesienia techniki samej produkcji, która miała dodatni wpływ na jakość towarów. Dlatego też stosowanie maszyn parowych i energii wodnej w przemyśle francuskim szło powolniej, niż w Anglii. Szybsze tempo w procesie mechanizacji nastąpiło wtedy, kiedy producenci francuscy zaczęli konkurować pomiędzy sobą. Mechanizacja przedsiębiorstw, choć pomału, postępowała ciągle dalej, ale nie jednocześnie w różnych gałęziach przemysłu. I tak np. zastosowanie urządzeń mechanicznych wcześniej miało miejsce w przemyśle bawełnianym, niż w innych, na tym zaś odcinku wcześniej w przędzalniach, niż w tkalniach. Na skutek tej różnicy szybciej zanikały przędzalnie domowe, podczas gdy tkalnie domowe utrzymały się aż do schyłku monarchii lipcowej. Jeszcze w 1842 r. 68 proc. tkanin stanowiła produkcja tkalni wiejskich, a nad Sekwaną tylko 22 proc. tkaczy było zatrudnionych po fabrykach, reszta zaś w małych warsztatach tkackich.

Intensywniejsze rozpowszechnienie warsztatów tkackich nastąpiło dopiero po 1834 r., nie bez sprzeciwu ze strony robotników, którzy w mechanizacji zakładów widzieli przyczynę obniżki i tak już bardzo niskich płac, (wahających się od 1 do 1,25 frc. dziennie) lub w ogóle bezrobocia.

W przemyśle jedwabniczym, podczas gdy przędzalnie domowe dawno już zanikły, tkalnie domowe, przynoszące wprawdzie bardzo niski zarobek, utrzymały się do połowy XIX w. W samym Reims w 1846 r. znajdowało się tylko od 5 do 6 wielkich zakładów tkackich, gdy tymczasem drobnych tkalni domowych było ponad 300.

Trzeba jednak zwrócić uwagę, że nie tylko brak inicjatywy ze strony producentów był przyczyną powolniejszego w stosunku do Anglii postępu technicznego w przemyśle włókienniczym, ale przede wszystkim zdecydowany sprzeciw ze strony robotników, którzy w procesie tym dopatrywali się wielkiej klęski dla siebie. Zdarzały się często wypadki, że robotnicy gwałtem sprzeciwiali się zainstalowaniu maszyn w zakładach, usuwali je i niszczyli. Często dla uśmierzenia tych buntów musiano się odwoływać do żandarmerii. Pomimo tych trudności, od 1830 r. mechanizacja zakładów przybierała coraz żywsze tempo, a wielki przemysł fabryczny wypierał wprawdzie pomału, ale zdecydowanie przemysł rękodzielniczy, zwłaszcza na wsiach. W niektórych dzielnicach proces ten został bardzo szybko ukończony, i taka Bretania czy departament Mayenne, które utrzymywały się głównie z wyrobu płócien, stały się wyłącznie krajami rolniczymi. Przemiana ta nieco dłużej potrwała we Flandrii i Pikardii, natomiast do wyjątków można zaliczyć takie miasto jak Vivaris, gdzie ewolucja ta zakończyła się dopiero w drugiej połowie XIX w.

Na szczególną uwagę zasługuje fakt, że postępy techniczne miały miejsce przede wszystkim w nowo powstających centrach przemysłowych, w starych zaś zakładach proces ten był znacznie opóźniony.

Mechanizacja zakładów wybitnie wpływała na podniesienie jakości produkcji, zwłaszcza przez zastosowanie mechanicznych gremplarek, przez co surowiec był odpowiednio przygotowany do przeróbki, tkanina zaś wyprodukowana z takiej przędzy, daleko przewyższała gatunkowo towary przemysłu rękodzielniczego.

Mechanizacja zakładów powodowała przede wszystkim wzrost produkcji, a tym samym zwiększały się dochody przedsiębiorców, co było znowu dla nich dopingiem do rozbudowywania zakładów i uruchamiania dalszych warsztatów.

Celem podniesienia jakości towarów następowała specjalizacja zakładów w określonym kierunku. I tak np. jedne fabryki produkowały tylko proste chusty, i na tym polu dochodziły do perfekcji, inne — bardziej ozdobne, luksusowe tkaniny. W końcu produkcja jakiegoś towaru stawała się specjalnością nie tylko jednej fabryki, ale całego okręgu. Np. Rouen dostarczało na rynek zwyczajnych perkali, Alzacja wyższych gatunków tkaniny. Lyon był nadal bezkonkurencyjny w produkcji tkanin jedwabnych.

Drogą specjalizacji osiągnięto tak dodatnie wyniki, że tekstylne towary francuskie nie ustępowały tkaninom angielskim i duża ich część szła na eksport, jak muśliny, gazy, tiule, aksamity, a nawet perkale francuskie cieszyły się wielkim popytem na rynkach Antylii i Kadyksu.

Upadkowi chałupnictwa na wsiach nie towarzyszył bynajmniej równoczesny upadek przemysłu rękodzielniczego w miastach. W większości małych miast, a nawet w samym Paryżu przewagę mieli rzemieślnicy i drobni przemysłowcy. Po skonstruowaniu pierwszej maszyny do szycia przez Thimonier'a w 1830 r. w miastach powstał cały szereg drobnych szwalni, gdzie koncentrował się prawie cały ówczesny przemysł konfekcyjny. Wyrób obuwia też miał miejsce przede wszystkim w drobnych warsztatach, a pierwsza fabryka butów powstała dopiero w 1834 r. W niektórych gałęziach przemysłu, jak np. w wyrobie rękawiczek w Grenoble, przejście od warsztatów domowych do przemysłu fabrycznego nastąpiło dopiero w końcu XIX w.

Drugą przodującą gałęzią przemysłu francuskiego za monarchii lipcowej był przemysł metalurgiczny. Rozwijać zaczął się on jeszcze za Napoleona, kiedy produkcja jego szła przede wszystkim na potrzeby armii. Szybsze tempo rozwoju za monarchii lipcowej, a nawet za restauracji, zawdzięczało się tej okoliczności, że po upadku Napoleona granice Francji otworzyły się dla producentów angielskich, którzy napływali do Francji celem otwierania nowych zakładów, przywożąc z sobą nowe urządzenia i rozpowszechniając najnowsze zdobycze techniczne, jak piece pudlowe, maszyny walcownicze itp. Wraz z nimi przybywali angielscy robotnicy i majstrzy, którzy w dużym stopniu przyczynili się do szybszego rozwoju francuskiego przemysłu metalurgicznego, a w kraju brak było wykwalifikowanych sił. Inicjatywa przedsiębiorców angielskich znalazła liczne naśladownictwo pośród kapitalistów francuskich, którzy dali początek coraz to nowym gałęziom przemysłu metalurgicznego, jak wyrób blachy cynkowej, siatki metalowej, ołowianych rur bez szwu, łóżek żelaznych itd. Przemysł metalurgiczny o tyle mógł się szybciej rozwijać, ponieważ był szczególnie chroniony ze strony rządu przed konkurencją towarów zagranicznych, których przywóz był prawie uniemożliwiony z powodu wysokich ceł. Z drugiej strony ta opieka rządu spowodowała o tyle ujemne zjawisko, że pomimo osiągnięcia tak wysokiej produkcji, iż zapotrzebowanie kraju było prawie zaspokojone, cena wyrobów metalowych była kilkakrotnie wyższa od cen na te same artykuły w Anglii. Przyczynę tego zjawiska należy przypisać też wysokim kosztom produkcji. Do opalania pieców hutniczych używano przeważnie drzewa, podczas gdy o wiele tańszy koks prawie nie miał zastosowania jako środek opałowy. Proces wypierania drzewa przez koks opóźniali sami przedsiębiorcy, którzy będąc posiadaczami wielkich lasów, ciągnęli podwójne zyski ze stosowania starych metod opałowych. Po drugie, ważną przyczyną był brak dróg komunikacyjnych, które by umożliwiały przewóz węgla z zagłębia po całym kraju. Stąd ta różnica cen nie tylko w skali europejskiej, ale nawet wewnątrz kraju pomiędzy poszczególnymi departamentami.

Po roku 1840, od kiedy rząd podjął myśl rozbudowy sieci kolejowej, przemysł metalurgiczny rozwijał się nadspodziewanie szybko, co pociągnęło za sobą równoczesny rozwój przemysłu węglowego. Zapotrzebowanie na węgiel coraz bardziej wzrastało. Koks z zagłębia Saary, Mosy i Loary rozprzestrzenia się po całym kraju. Liczba górników do 1847 r. wzrosła 3-krotnie, jak i zapotrzebowanie na węgiel. Wkrótce produkcja krajowa nie była nawet w stanie zaspokoić tego zapotrzebowania. Zagłębia węglowe stały się największymi i najbardziej zaludnionymi centrami przemysłowymi, jak Lille, Roubaix, Tourcoing, Saint-Etienne.

W przemyśle metalurgicznym wydobywanie rudy żelaznej powiększyło się dwukrotnie, olbrzymie też dochody przynosiło przedsiębiorcom wydobywanie rudy srebra i produkcja miedzi.

Szersze zastosowanie maszyn, pieców pudlowych i innych nowych ulepszeń technicznych nie tylko wpłynęło na powiększenie produkcji, ale i na jej jakość, a pośrednio i na obniżkę cen na produkty metalowe, które nadal pozostawały wyższe w stosunku do cen angielskich, ponieważ drzewo jako środek opałowy jeszcze przeważało w przemyśle. Natomiast jeśli chodzi o samą jakość wyrobów metalowych, to pod tym względem przemysł metalurgiczny francuski posunął się tak dalece naprzód, że w połowie XIX w. stał on na drugim miejscu po angielskim.

O ile rozwój przemysłu tekstylnego i metalurgicznego był w dużym stopniu uzależniony od maszyn angielskich, o tyle w innych dziedzinach przemysł francuski przejawiał całkowitą samodzielność. Szczególnie na uwagę pod tym względem zasługiwał przemysł chemiczny, gdzie po doświadczeniach Le Blanc'a podjęto masową produkcję sztucznej sody, kwasu octowego i sztucznego bromu. Właśnie od produkcji sody wywodził swój początek wielki przemysł chemiczny.

Na szerszą skalę podjęto też produkcję kwasu siarkowego, solnego, talku, żelatyny, mydełek z olejku palmowego, świec stearynowych, a przede wszystkim nawozów sztucznych. W 1847 r. powstały wielkie zakłady chemiczne w Amiens.

Produkcja papieru wzrosła do 1842 r. dwukrotnie.

Francja przodowała za monarchii lipcowej w białoskórnictwie i wyrobie skór lakierowanych. W ogóle przemysł skórzany zdobywał coraz większe znaczenie, a jego wyroby, zwłaszcza z zakresu galanterii, jak portmonetki czy rękawiczki skórzane, cieszyły się wielkim popytem na rynkach świata.

Charakterystyczny dla tej epoki był rozwój przemysłu szklarskiego. Przez wprowadzenie wysokich cen na surowiec, małe fabryki szklane nie wytrzymały konkurencji i zanikły, natomiast wielkie zakłady rozwijały się pomyślnie, a dla obrony swoich interesów utworzyły syndykat z siedzibą w Paryżu, który dysponował poważnym kapitałem.

Z poprzednio wypowiedzianych uwag o przemyśle francuskim za monarchii lipcowej można wyciągnąć końcowy wniosek, że w epoce tej następowała ewolucja w samej organizacji przemysłu, a mianowicie przejście od przemysłu chałupniczego do wielkiego przemysłu fabrycznego, ale proces ten następował pomału, tak, że jeszcze w przededniu rewolucji lutowej był on w stadium rozwoju. W 1845 r. na 3200 zakładów przemysłowych, z ponad 50 robotnikami, tylko 1/25 zatrudniała więcej niż 500 robotników. To też w połowie XIX w. drobny przemysł rękodzielniczy ciągle przeważał nad wielkim przemysłem fabrycznym i odgrywał znaczną rolę w życiu gospodarczym kraju.

Ogólnie biorąc, przemysł francuski wprawdzie wykazywał pewne niedociągnięcia i braki, niemniej za monarchii lipcowej obserwujemy duży postęp na polu ulepszeń technicznych, mechanizacji zakładów, zwiększenia produkcji i podniesienia jakości towarów, tak, że w skali europejskiej zajmował on jedno z pierwszych miejsc. Wielkie zasługi dla przemysłu krajowego oddał Ludwik Filip, który specjalnie zabiegał około podniesienia życia gospodarczego kraju i nie skąpił na ten cel wydatków, a przez rozbudowę sieci kolejowej może się najbardziej dla jego rozwoju przyczynił.

Rozwój wielkiego przemysłu fabrycznego a upadek chałupnictwa i ubożenie drobnych gospodarstw rolnych ściągały do centr przemysłowych całe rzesze robotników poszukujących zarobków. W okresie od 1801 do 1846 r. ludność miejska wzrosła o 30 proc., w niektórych miastach, jak Paryż, Lyon o 100 proc. a w Roubaix i Saint Etienne nawet o 400 proc.

W 1846 r. ludność miast stanowiła 25 proc. całej ludności kraju. Ta wędrówka ludzi do miast spowodowała wielki kryzys mieszkaniowy, tak, że zamieszkiwanie piwnic i innego rodzaju nor przez rodziny robotnicze było na porządku dziennym.

Zmechanizowanie zakładów przemysłowych umożliwiło zatrudnianie na większą skalę kobiet i dzieci, które były wprost śmiesznie wynagradzane za swoją pracę, wywołując tym samym większą konkurencję w świecie robotniczym. Statystyka wykazuje, że w 1847 r. w 63 departamentach Francji pracowało w przedsiębiorstwach przemysłowych około 927 tys. ludzi, w tym kobiet 254 tys., t. j. ok. 37 proc. W departamencie dolnej Sekwany na 86 tys. pracujących robotników dzieci było 15 tys.

Przeciętny zarobek robotnika przy 16 godz. dniu pracy z 1,5 godz. przerwą wahał się w granicach od 1 do 2 frc., dla kobiet około 1 frc., dzieci od 0,5 do 0,75 frc. Rzemieślnicy byli znacznie lepiej płatni, bo ich zarobek zawierał się w granicach od 3 do 5 fr. Cyfry te nabiorą dopiero istotnego znaczenia, gdy weźmiemy pod uwagę realną wartość zarobku robotnika. Otóż rodzina bezdzietna potrzebowała około 75 frc. miesięcznie, żeby w miarę dostatnio wyżyć. Jeśli zaś chodzi o rodziny posiadające kilkoro dzieci, to z reguły nie zarabiały one tyle, ażeby zaspokoić najpierwsze potrzeby życia codziennego.

Rozwój przemysłu kapitalistycznego i wzbogacanie się klasy przedsiębiorców przy równoczesnym ubożeniu mas pracujących kopały przepaść pomiędzy tymi klasami. Klasa robotnicza nabierała wówczas wyraźniejszej świadomości swoich interesów, niż w okresie, kiedy majster i czeladnik prowadzili mniej więcej ten sam tryb życia i kiedy nie było tak wyraźnego przedziału pomiędzy przedsiębiorcą a najemnikiem. A co było już najboleśniejsze, to ten brak zrozumienia dla potrzeb i żądań robotników. Dlatego zaczęli się oni sami organizować dla obrony swoich interesów.

(d. c. n.)

OPIS MOJEJ WSI

W najbliższym numerze ogłosimy konkurs Instytutu Prasy Spółdzielni Wydawniczej „CZYTELNIK" na opis współczesnej wsi polskiej. Obok nagród ustanowionych przez Instytut Prasy Spółdzielni Wydawniczej „CZYTELNIK"

redakcja „WSI"

przyzna dodatkową własną nagrodę

Szczepan Aleksander Pieniążek

Edward Kr-zan czyta „Poland of To-day" *)

Każdy wykład entomologii zaczynał się zawsze w ten sam sposób. Profesor wchodził na katedrę i zaczynał odczytywać listę.

„Avery"

„Barrington"

„Belline"

„Carter"

W tym miejscu zatrzymywał się, a Edward czerwienił się i zaciskał szczęki, w klasie zaś wybuchał śmiech. Wiadomo było, że profesor nie potrafi wymówić jego nazwiska, a raczej język sobie połamie, niż wypowie prosto i bez zająknienia „Kr-zan".

Edward Chrzan pochodził z licznej rodziny. Miał aż sześciu braci. Ojciec jego przyjechał do Ameryki lat temu trzydzieści z okolic Nowego Sącza. Pracował w pensylwańskiej kopalni aż do tego wypadku pięć lat temu, po którym zrobiono go strożem w składzie węgla.

Starszy brat Edwarda ożenił się z Włoszką. We wszystkich papierach, podaniach o pracę i przyjęcie do klubów i stowarzyszeń w rubryce: pochodzenie, Walter pisał: Austriak. Z tego przecież kraju przyjechał jego ojciec, z tego wywodziła się matka — spod Wadowic.

Edward nie podawał się za Austriaka. W rubryce, dotyczącej swych przodków pisał: Polish, z takim samym wyrazem twarzy, jak syn tragarza z kolei, Stephenson, pisał w rubryce: rasa, wyraz: Negro. Pochodzenie, wiedział Edward, nie da się ukryć, jak nie da się wybielić czarna, murzyńska twarz.

Było to w roku 1938. Z Polski przyjechałem dopiero parę tygodni temu. Słyszałem tyle o Polonii amerykańskiej, że każde polskie nazwisko, jakie ujrzałem na liście studentów, było dla mnie jakby spotkaniem serdecznego przyjaciela o sześć tysięcy mil oddalonego od domu. Zobaczyłem Chrzana na liście, więc zaraz do niego.

„You Polish?"

„Yes. I am Polish" — spojrzały na mnie jasne, niebieskie oczy, nawet bez nieprzyjaźni. Niezawsze przecież garbaty przyjmie za obrazę zapytanie, „Czy Pan jest garbaty?", choć pewnie pytanie to wyda mu się przynajmniej niepotrzebnym.

Z Edwardem z czasem zaprzyjaźniłem się bardzo, ale to już było wtedy, gdy został on prezesem Klubu Konrada. Z początku patrzył na mnie, jak na podrzutka. Nie chciał wierzyć, że jestem Polakiem. Zdawało mi się, że powinien się zachować, jak ten starzec z sienkiewiczowskich Wspomnień z Maripozy, że powinien schwycić mnie trzęsącymi się rękami i wypytywać o kraj swych ojców, o ziemię, z której się jego ród wywodzi.

Tymczasem Edward, jak i inni polskiego pochodzenia studenci, z którymi się poznałem, unikali rozmów o Polsce, jak naprzykład unika się wspominania członków rodziny, którzy czyn brzydki popełnili i o których chce się zapomnieć.

Zeszło mi rok czasu, zanim zrozumiałem Edwarda. Pojechałem raz na daleką farmę w odwiedziny do Chestera Owczarzaka. Chester miał siostrę, dziesięcioletnią Carolyn. Trzpiot dziewczyna, na miejscu nie usiedziała spokojnie, a sprytna, jakich mało. Jedliśmy właśnie lunch, kiedy weszła Carolyn, cała spokojnie, a sprytna, jakich mało. Jedliśdła, czy co? Nie, to siostra Teresa obficie umoczonym kropidłem wypędzała z niej złego ducha, bo chichotała za bardzo na lekcji.

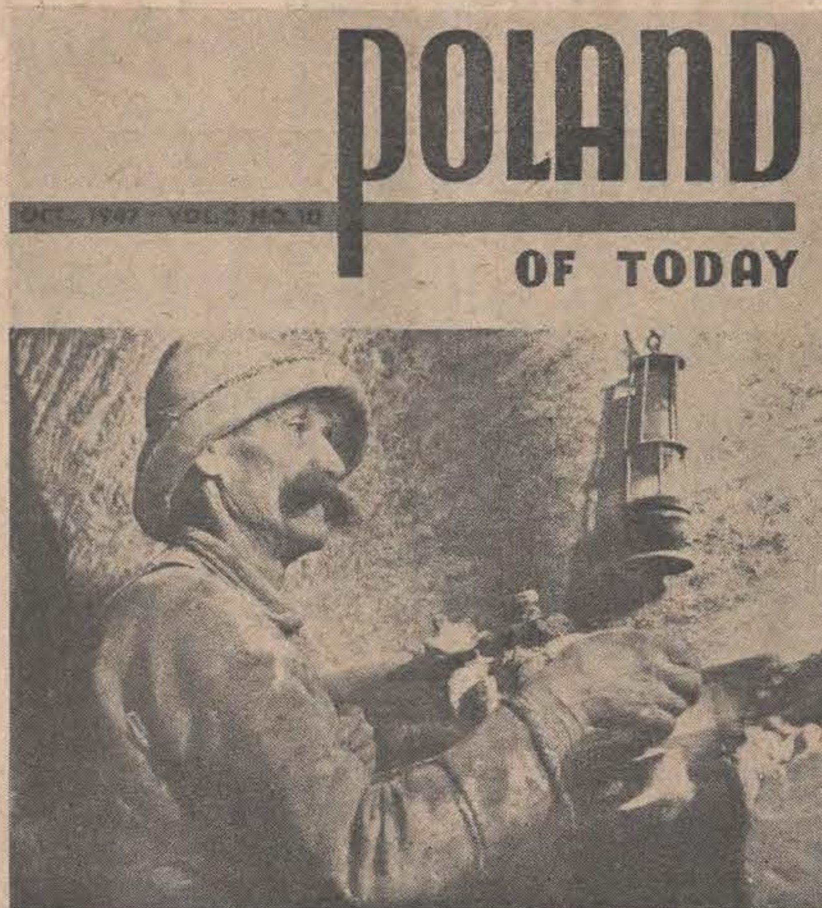
Słyszałem tyle, jeszcze będąc w Warszawie, o tym, że Polonia swoje dzieci po polsku wychowuje, do polskich szkół posyła. Dopiero tu zobaczyłem, na czym to wychowanie polega. Jakże inaczej mogliby Owczarzakowie wychowywać swoje dzieci, jeśli nie po polsku? Oboje są już w Ameryce od roku 1915, ale matka po angielsku nie nauczyła się wcale, a i ojciec niewiele tym językiem powiedzieć potrafi. Mówią więc po polsku między sobą, do dzieci, teraz też i do mnie.

„Wysendowałem bojsa do štoru, sam zasię lunch w karę i do dochtora. Moja baba złapała zimno i już dwie medycyny połkła, na drugiej strycie..."

Spojrzałem na Chestera. Teraz przestałem się dziwić, dlaczego dla niego polski język nie uchodził wcale za piękny, a już moje jego wydanie było najzupełniej dla niego niezrozumiałe. Długo tej nocy gawędziliśmy we trzech. Stary i młody Owczarzak, i ja. Zdaje mi się, że Chester poraz pierwszy poznał swego ojca.

Ojciec był bardzo porządny i pracowity. Syna kochał, ale jakże mogli się oni zrozumieć? Stary przyjechał z Polski, nie umiejąc czytać ani pisać. Jego opowiadania o Polsce streszczały się do Łącka i kilku pobliskich wsi. Pamiętał stamtąd biedę, samowolę jakiegoś czeskiego urzędnika i pijanego wiecznie wójta. Czy mógł on tym zaciekawić Polską swoje dzieci?

Owczarzak wiedział o tym i chciał, aby szkoła wpoiła w nie sentyment do Starego Kraju. Posyłał je więc do polskiej szkoły parafialnej, prowadzonej przez Siostry. Polscy księża posiadają ogromną zasługę w zachowaniu polskiego języka wśród wychodźców w Ameryce. Oni zorganizowali polskie parafie, a przy każdej parafii polską szkołę. O ile



jednak polski emigrant dziś stoi na takim poziomie, na jakim stał wtedy, gdy wyemigrował z kraju, to o tyle polski ksiądz podobny jest do księdza jeszcze z naszych czasów pańszczyźnianych. Przecież u nas na najbardziej zapadłej wsi z chichotliwej dziewczyny ksiądz ani zakonnica nie wypędzały wodą święconą diabła. A tu, w Ameryce, to jeszcze możliwe. Tu, w Ameryce, widziałem biedną ofiarę religijnego obłędu, śliczną, osiemnastoletnią dziewczynę, zakutą w habit franciszkański od czasu, gdy miała dwa lata. W tym wieku zachorowała, a matka uczyniła ślub, że jeśli córka wyzdrowieje, to do pełnoletności chodzić będzie w sukni tego zakonu, chociaż przecież była cały czas w domu, a nie w klasztorze.

Starzy posyłają więc dzieci do polskich szkół. Młodzi buntują się, bo wiedzą, że przy przechodzeniu do publicznej szkoły przyjmą ich do klasy o rok lub dwa lata młodszej, tak nisko stoi nauka w naszych szkołach. Młodzi nie chcą do nich chodzić, bo instynktownie bronią się przed zacofaniem, a starzy narzekają na dzisiejsze pokolenie, rzucają gromy na wyrodków. Z ambon padają wyklinające słowa już nietylko na czerwonych i niedowiarków, jak dotychczas, ale na zdrajców polskości.

Dziwił się kiedyś polski emigrant, gdy go pytali, jakiej jest wiary. W jego rodzinnej wsi tego pytania nikt mu nie zadawał. Wiadomo — Polak to i katolik. Tu, w Ameryce, tyle tych różnych „sekt". Więc i Polacy do różnych poszli owczarni. Niektórzy z ciekawości. A najwięcej było takich, którzy nie mogli znieść patriarchalnej i twardej władzy proboszcza, rządzącego całą parafią, wyklinającego na prawo i lewo za najmniejsze nieposłuszeństwo.

Powstali więc polscy baptyści i metodyści, rozwinął się potężnie Polski Kościół Narodowy, dawniej znany nam z pociesznych niby opowieści, szerzonych przez nasz kler, a ostatnio choćby z tego, że tak od razu pozytywnie ustosunkował się do Polski Ludowej i naszego Rządu po jego powstaniu.

Tak pogadywaliśmy sobie we trzech, rozumiejąc się coraz bardziej. Chester widział wysiłki ojca, któremu Polska nic nie dała, a którą on nieudolnie i niezgrabnie wszczepić chciał w dusze swych dzieci. Stary Owczarzak poraz pierwszy może ujrzał w młodym chłopcu prężność, właściwą jego wiekowi. Zrozumiał, że młody chce dojść do czegoś w życiu, a w ten sposób narzucana mu polskość zmniejsza jego możliwości, nic w zamian nie dając. Pogłębia tylko niepotrzebnie przepaść między starym, a nowym pokoleniem.

A różnica ta jest ogromna. Pamiętam, tuż przed powrotem do Polski w roku 1946 brałem udział w zebraniu polskiego stowarzyszenia w Blackstone Valley w stanie Rhode Island. Przyszło ludzi z osiemdziesiąt. Przesadziłbym, gdybym powiedział, że każdy z zebranych miał po lat osiemdziesiąt, ale naprawdę poniżej pięćdziesiątki nie było nikogo. Ta sama stara emigracja sprzed pierwszej wojny. Ich dzieci już na takie zebrania nie przyjdą. One przeszły przecież przez polską szkołę. To nie ironia, to fakt.

Z goryczą mówili ci starzy o młodym pokoleniu, że nie mówią po polsku, że zmieniają nazwiska. Słuchałem ich z mieszanym uczuciem litości i winy. Zebrali się tu, aby ofiarować dla Zakładu Sadownictwa SGGW do którego wracałem, drogi przyrząd naukowy. Zrobili to z sentymentu dla Starego Kraju, chociaż przekonani byli święcie, że ani ja, ani moja żona i dzieci, ani powierzony mi potencjometr, nie dojedziemy do Warszawy, bo prosto z Gdyni skierują nas na Syberię. Mówię o winie nie swojej, ale narodu, który w świat posłał swe dzieci w takim stanie rozwoju umysłowego, że dały się do tego poziomu sprowadzić.

Nieszczęśliwi ojcowie i nieszczęśliwe dzieci. Bo przecież trudno powiedzieć, aby szczęśliwy był Walter Chrzan, od pięciu lat już nie Chrzan, tylko Richter, Walter F. Richter. Przeprowadził się do innego miasta i zdawało mu się, że już nikt nie będzie wątpił w jego austriackie pochodzenie. A tu złośliwy sąsiad skądś się wywiedział i rozeszła się wieść, że Walter to nie żaden Austriak, tylko i po prostu „A dirty Pollack".

Zbyt wiele ma młodzież prężności, aby zamknąć się w kole bez wyjścia. Nie objęło też ono i całej młodzieży, synów i córek naszej emigracji w Ameryce. Większość znalazła wyjście proste i jasne, chociaż ani prostym, ani jasnym nie wydawało mi się ono w pierwszych miesiącach mojego pobytu na drugiej półkuli.

Bogdziewicz miał już dość tego, że nikt nie mógł wymówić jego nazwiska. Zmienił je więc, ale nie nazwał siebie ani Green, ani Smith, tylko Bogdan. W całości Alexander Edward Bogdan. Nie zapiera się polskiego pochodzenia, mówi, że ma przecież polskie nazwisko. Po polsku nie umie wcale, ale prenumeruje dwa polskie pisma. Jedno to „Poland of To-day", a drugie to „Dziennik Ludowy" z Detroit z wkładką w języku angielskim.

Owczarzak zmienił nazwisko na „Baran", Wilczyński na „Wilk", a Chrzan na „Burak", bo uparł się, że pozostanie w warzywnictwie. I po polsku żaden z nich nie mówi. Czy czują się Polakami? Wcale nie. Uważają się za Amerykanów. Do Polski mają jednak wiele uczucia i bronią jej na każdym kroku.

Przykładem dla nich są Irlandczycy. Osiedli w Ameryce już od lat prawie stu, więc też czują się Amerykanami. Po irlandzku żaden z nich nie umie. Jakże tego od nich wymagać, kiedy ani ich ojcowie, ani dziadowie tym językiem nie władali. Ba, sami Irlandczycy w Irlandii dopiero niedawno po irlandzku uczyć się zaczęli, za przykładem swego przywódcy De Valery, rodem z Brooklyna, przedmieścia nowojorskiego.

Ale niech-no ktoś w Ameryce rzeknie słowo przeciwko Irlandii! Toż się na niego rzucą wszystkie Gallagher'y, Murphy'owie i inne Patryki! Każdy z nich pamięta, że jego przodek wywodził się z Zielonej Wyspy i każdy bronić jej będzie uparcie. A pamiętam, potrzebowała ona w czasie wojny obrony, za te jej wszystkie flirty z Niemcami.

Ginie więc dawna Polonia w Ameryce Wymierają stare wiarusy typu Majka Głupkowiaka, nieśmiertelnego tworu Łukaszkiewicza, co to przy piwie i wódce o Polsce od morza do morza i o potępieńcach-czerwonakach po kościelnych karczmach rozprawiał. Coraz rzadziej słyszy się polski język na ulicach Buffalo, Chicago i New Yorku. Znikają z szyldów długie, niemożliwe do wymówienia polskie nazwiska, a ze stukilkudziesięciu pism polskich w Ameryce nie wiem, czy połowa przeżyje następnych lat dwadzieścia.

Ot — zwykła dola zamorskiej emigracji. O ratowaniu tej polskości nie ma co i mówić. Byłoby zresztą rzeczą nienaturalną, aby synowie i wnukowie naszych emigrantów nie zostali wessani w społeczeństwo amerykańskie. Dla mnie ważną jest inna rzecz. Chodzi o to, aby wyrośli z nich Amerykanie z takim nastawieniem do Polski, jak synowie i wnuki Irlandczyków do Irlandii.

Mam wrażenie, że proces asymilicji młodej Polonii idzie w tym właśnie kierunku. Trudno się spodziewać dobrego nastawienia do Polski Ludowej od istniejących dziś stowarzyszeń i związków polskich. Organizacje reprezentują drobną część Polonii, tych najstarszych, wychowanych przez kler. Do nich też docierają polskie pisma.

Ogromna większość Polonii, a zwłaszcza ci młodsi, nie są zorganizowani, a raczej należą oni do innych organizacji. Do związków zawodowych, do partii politycznych. To dlatego Nowa Polska obudziła entuzjazm w Detroit, to dlatego w związkach zawodowych ma tak wiele poparcia. Teraz też staje się jasnym, dlaczego „komunistyczny" Głos Ludowy ma wkładkę w języku angielskim. Widocznie rozumie się tam, że o Polsce serdecznie pomyśleć może i dumnym z niej być nawet ktoś, kto słowa po polsku nie umie, chociaż z polskiej rodziny pochodzi.

Przyznam się i ja, że szybko przestałem się oburzać na Pęczków, Stachowiczów i Milczarków, nie rozumiejących po polsku. Mam nawet na swoim sumieniu i to, że za moją przyczyną Klub Conrada w Cornell University wprowadził zamiast polskiego język angielski do swych obrad i protokółów. Muszę zaznaczyć, że zaraz po tym postanowieniu zdwoiła się liczba jego członków. Podobnego widocznie zdania jest i nasza ambasada, wydając na Amerykę piękne pismo w języku angielskim „Poland of To-day", czytanie szeroko przez Amerykanów polskiego pochodzenia. A więc nie po polsku się dla nich pisze, ale w języku, którego używają codziennie.

Jakie będą dalsze losy ustosunkowania się Polonii do nas? Na pewno będzie ono coraz przychylniejsze. Między nami i nimi krążą setki tysięcy listów. Z nich dowiadują się nasi krewni i znajomi, że jeszcze żyjemy, że nas na Syberię nie wywieziono. Powoli przestaną więc wierzyć w to, co pisze pan Lechoń w Tygodniku Polskim, jak przestano wierzyć po tamtej wojnie w przepowiednie rychłego wymarcia z głodu całej ludności w Związku Radzieckim. Nasza emigracja z tej wojny, ta zmotoryzowana, nie wywrze żadnego wpływu na Polonię, chociaż to temat ciekawy i może jeszcze kiedy o tym pomówimy. Tymczasem wszystko wskazuje na to, że wróci niedługo naturalny, uczuciowy stosunek Polonii ku Staremu Krajowi. Ten powrót już się zaczął, a uwidocznił się nawet w takich pismach, jak Przewodnik Katolicki, wychodzący w New Britain. Bo pamiętajmy, że i księża młodzi są inni. Po polsku niektórzy mówią bardzo słabo, ale może to i lepiej, bo wiadomości o Polsce szukać będą nie w Tygodniku, a w „Poland of To-day".

*) „Poland of To-day" — „Polska współczesna" — pismo Ambasady Polskiej w U.S.A.

W OSTATNIM 10 (139) NUMERZE „WSI"

z dnia 7 marca 1948 r.

Tadeusz Orlewicz

Kraj paradoksów kapitalistycznych

1) ARGENTYNA

Argentyna jest obok Brazylii największym terytorialnie państwem Ameryki Południowej, kraj ten bowiem liczy ponad 2.800.000 km. kw. i rozciąga się na przestrzeni 3.600 km. od terenów tropikalnych na północy do klimatu arktycznego na południu. Argentyna ma bardzo korzystne warunki glebowe i klimatyczne dla gospodarki rolno-hodowlanej. Mimo to pod uprawą znajduje się zaledwie 25,7 milionów ha, a więc 9 proc. obszaru kraju. Resztę zajmują pastwiska naturalne i sztuczne (41 proc.), lasy (33 proc.), nieużytki i tereny zabudowy miejskiej.

Według spisu ludności z roku ub. w kraju tym mieszka 16.208.000 osób, przy czym w okresie 1914-1947 wzrost liczby mieszkańców jest bardzo wysoki z uwagi na masowy napływ emigrantów, w okresie tym bowiem ludność Argentyny powiększyła się o 8.308.000 głów mimo czasowego zakazu osiedlania się elementu napływowego.



Na żyznych stepach Argentyny

Podział ludności na miejską i wiejską wykazuje poważne powiększanie się ludności miast. Obecnie oblicza się, że w miastach mieszka i pracuje 27 proc. ludności kraju, z czego aż 20 proc. — to sama stolica Buenos Aires, a pozostałe 7 proc. — to mieszkańcy 8 większych miast. Na nadmierny pęd do miasta ze wsi wpływa szereg czynników, z których trzeba wymienić przede wszystkim bardzo ciężkie warunki materialne, w jakich żyją drobni rolnicy, powszechny prymitywizm w urządzeniach i gospodarce, który pozostaje w rażącej sprzeczności z nowobogactwem luksusowego i nowoczesnego Buenos Aires, i wreszcie pogoń za łatwym zarobkiem, a unikanie nadmiernego wysiłku.

W kraju typowo rolniczym, jakim jest Argentyna, w kraju, w którym gęstość zaludnienia jest minimalna, braki w sile roboczej w przemyśle są szczególnie wyraźne. Ale równie wyraźne braki odczuwa coraz silniej rolnictwo argentyńskie. Ten stosunek: 73 proc. — wieś i 27 proc. — miasto, stopniowo zmienia się na korzyść miasta, ale z uwagi na ogólne słabe zaludnienie kraju wieś nie może ciągle dostarczyć przemysłowi dostatecznej ilości rąk do pracy, ci zaś, którzy odchodzą do miast, zmuszeni kapitalistyczną gospodarką wyzysku, tworzą coraz bardziej wydatne luki w produkcji rolnej. Wieś argentyńska pustoszeje; nie tylko utrzymuje się ale jeszcze pogłębia stan upośledzenia pracujących na roli pod względem materialnym i społecznym. Są to paradoksy i sprzeczności ustroju gospodarczego Argentyny, rolnictwo bowiem dostarcza temu krajowi największą i najwartościowszą część eksportu, a w ślad za tym i dewiz do korzystnego obrotu towarowego.

2) DZIERŻAWY — DROBNOROLNI

Te paradoksy mają swoje podłoże w wadliwym ukształtowaniu i rozłożeniu majątku oraz dochodu społecznego. Na pierwszy plan wybija się tutaj przerost wielkiej własności ziemskiej i zbytnia koncentracja kapitału w produkcji. Na odcinku rolniczym panują właściwie stosunki półfeudalne. Punkt węzłowy zagadnienia leży bowiem w tym, że własność gruntów skoncentrowana jest w rękach tylko 3000 właścicieli. Ci właściciele, obojętnie czy to są osoby fizyczne czy prawne, posiadają olbrzymie majątki ziemskie, których obszar często przekracza 100.000 ha. Sami gospodarki rolnej czy hodowlanej w tych majątkach nie prowadzą, bo wolą siedzieć w stolicy, grunty zaś wydzierżawiają drobnym rolnikom przy zastosowaniu dużej stawki dzierżawnej. Dzierżawa trwa od 2 do 5 lat, a działki przeważnie liczą do 150 ha ziemi. Czynsz dzierżawny — to najmniej 33 proc. zbioru. Na tle tej dzierżawy zaczyna grać skomplikowany aparat wyzysku tym skuteczniej, że istnieje rozbudowane na wielką skalę pośrednictwo kupieckie, żerujące na nędzy robotników rolnych i stwarzające sobie drogą faktów prawa monopolistów w kupnie wyprodukowanego przez drobnych rolników zboża i w sprzedaży im wszystkich innych artykułów aprowizacyjno-użytkowych. Statystyka wskazuje na to, że ta właśnie grupa drobnych dzierżawców rolnych — to właśnie są producenci 80 proc. zboża argentyńskiego. I ci główni producenci zboża — wegetują. Rażąco więc przedstawia się dysproporcja pomiędzy warunkami bytu nielicznej warstwy uprzywilejowanych a ubóstwem pozostałej i przeważającej części ludności. Stąd w rolnictwie argentyńskim dominuje cecha stałej wędrówki w beznadziejnym poszukiwaniu lepszych warunków pracy, stąd niezadowolenie wśród robotników przemysłowych, bo ceny rosną, a wobec niskich płac wzrastają koszty utrzymania. Zwykły to obraz ustroju kapitalistycznego i znane są nam wszystkim jego praktyczne skutki i to skutki wyraźne nawet mimo totalitarnych systemów rządu Perona.

3) URODZAJNOŚĆ, MONOKULTURY, GOSPODARKA EKSTENSYWNA

Obrazowi dajemy dalsze tło zasadnicze przez uwypuklenie rozmiarów produkcji rolno-hodowlanej tego kraju. Od roku 1880 Argentyna staje się coraz większym światowym eksporterem płodów rolnych. Udział jej w tym dziale eksportu rośnie, chociaż zaledwie 46 proc. ziemi nadającej się pod uprawę, jest wykorzystywane obecnie dla produkcji rolnej. Zadajemy sobie pytanie, skąd wobec tego takie rozmiary wywozu zbożowego i mięsa, skoro powierzchnia uprawna nie obejmuje wszystkich możliwości kraju, skoro sił roboczych na wsi nie dostaje, a rolnik wegetuje na poziomie rażąco niskim. Składają się na to: wyjątkowa urodzajność gleby, gospodarka ekstensywna i system monokultury. Są okręgi, w których przez ostatnie 20 lat, nie stosowano ani płodozmianów, ani nie pozostawiono czasowo ziemi odłogiem, a jednak w tych okręgach sama natura daje wysokie zbiory i co jest bardzo charakterystyczne — wysokość tych zbiorów utrzymuje się niemal stale na tym samym poziomie, chyba, że przyjdzie susza lub opanuje jakiś okręg plaga szarańczy. Gospodarkę ekstensywną ugruntował system dzierżaw. Czasowy dzierżawca, wyzyskiwany przez właściciela majątku i przez kupców nie jest zainteresowany w celowych nakładach inwestycyjnych, wzmagających produkcję i przestawiających pospodarstwo na pracę intensywną, dlatego też i plony z 1 ha, jak na możliwości gleby, są niskie. Rząd pragnie ten stan choćby częściowo uzdrowić, ale stosowane przez niego półśrodki w praktyce nie zaradzą złu, tkwiącemu u podstaw systemu. Taktyka rządu idzie bowiem po linii progresji podatkowej dla majątków, które nie są gospodarowane bezpośrednio przez właściciela, oraz po linii zakupywania gruntów pod kolonizację. Ze stanowiska argentyńskich drobnych dzierżawców rolnych posunięcia takie mogą być obrócone tylko jako argument ze strony właścicieli ziemskich dla podwyższenia tenuty dzierżawnej.

Argentyna w dziedzinie rolnictwa produkuje przede wszystkim pszenicę, dalej kukurydzę i rośliny oleiste, w których obecnie wysuwa się na pierwszy plan siemię słonecznikowe. Wyniki zbiorów wykazują poważne wahania, zależne nietylko od suszy, ale i od koniunktury na rynkach światowych. Wahania te najwyraźniej występują w zbiorach pszenicy. W roku 1939 zebrano 10.300.000 ton tego zboża, w roku 1946 — tylko — 3.900.000 ton, a więc 70 proc. mniej, zbiór tegoroczny (żniwa pszeniczne w Argentynie odbywają się w grudniu — styczniu) oszacowany jest na 5.613.000 ton. Zbiór kukurydzy waha się w latach 1939-1946 od 4.900.00 ton do 3.600.000 ton i wykazuje podobne związki i zależności, jak zbiory pszeniczne. Oto zestawienie szczegółowe:

w tysiącach ton

rodzaj uprawy	rok 1939	rok 1946
pszenica	10.300	3.900
kukurydza	4.900	3.600
siemię słonecznikowe	270	1.000
siemię lniane	1.450	900
owies	700	736
jęczmień	450	835
żyto	370	293
ryż	100	153
ziemniaki	370	390
bawełna	70	66

Produkcja najważniejszych artykułów rolnych przedstawiała w roku 1946 wartość 560 milionów dolarów amerykańskich. Na eksport poszły płody rolne wartości 434 milionów dolarów, przy czym eksport ten składał się z: 1,387.000 ton pszenicy, 2.200.000 ton kukurydzy, 657.000 ton jęczmienia, 355.000 ton owsa i 155.000 ton żyta. Z zestawienia tego wynika, że na eksport przeznaczono z ogólnych zbiorów tego roku: pszenicy — 40 proc., kukurydzy — 60 proc., jęczmienia — 75 proc., owsa — 50 proc. i żyta — 55 proc. Jeżeli przyjrzymy się ponadto sprawozdaniom z zakresu argentyńskiego handlu zagranicznego, to okazuje się, że proporcje na odcinku eksportowym są następujące:

Główne grupy towarowe	1936 r.		1946 r.	
	w mil. dol.	%	w mil. dol.	%
produkcja zwierzęca	153,3	37,5	427,3	43,9
produkcja rolnicza	240,3	58,4	416,2	42,7
produkcja leśna	9,6	2,3	18,9	1,9
produkcja przemysłowa	7,9	1,8	111,5	11,5
Razem	411,1	100	973,9	100

4) PUŁAPKA RYNKÓW ŚWIATOWYCH

Dominuje zatem nadal w eksporcie praca rolnictwa i hodowli. I te pradukty rolnicze są nietylko najważniejszymi częściami składowymi wywozu, ale stanowią podstawę dla rozwoju przemysłu przetwórczego. Dobrze rozwija się przemysł młynarski, cukrowniczy, mleczarski, spirytusowy, winny i browarniczy, a wreszcie poważny już dzisiaj przemysł olejarski. Nie rozwiązuje to jednak sprawy, gdyż piętą achillesową argentyńskiej gospodarki rolnej jest jej uzależnienie od wywozu, a więc od zapotrzebowania światowego i pułapu cen na rynkach międzynarodowych. Kapitalizm pilnie czuwa nad polityką wysokich cen i pustych półek, stąd zjawiska używania kukurydzy jako opału w latach 1930—1931 i spalenie wielu tysięcy ton pszenicy w roku ubiegłym. Rząd Perona ustalił jednocześnie bardzo niskie ceny zakupu artykułów rolniczych w porównaniu do cen eksportowych. Uzyskiwana poważna różnica idzie wyłącznie do państwowej kasy skarbowej. Taka sytuacja grozi coraz powszechniejszym likwidowaniem powierzchni uprawnej zbóż na rzecz pastwisk. Sygnały takiej ewentualności już się pojawiły, gdyż w-g ostatniego szacunku zasiewów pszenicy obszar ten jest o 22 proc. mniejszy od przeciętnej powierzchni siewnej z okresu ubiegłego dziesięciolecia. Sprawa ta wiąże się zresztą ze sprawozdaniem jakie złożyłem czytelnikom „Wsi" w sprawie światowej sytuacji aprowizacyjnej*) i wskazuje na to, że są siły i metody, którym zależy na utrzymaniu **trwałego niedoboru żywności na świecie.**

5) WŁAŚCICIELE ZIEMSCY I... BYDŁO

Inaczej rzecz wygląda z hodowlą bydła, która ma duże szanse rozwojowe, dzięki korzystnym warunkom naturalnym, szczęśliwemu krzyżowaniu ras oraz z uwagi na stosowanie lucerny jako paszy zasadniczej. Hodowla jest bardzo opłacalna, bo towarzyszą jej niewspółmiernie niskie koszty produkcji. Mięso argentyńskie ma ceny bezkonkurencyjne i jest bardzo poszukiwane na rynkach świata. W związku z tym powstaje potężny



Żniwa w Argentynie.
Zbierają... aby później spalić

przemysł mięsny i konserwowy, chłodnie, rzeźnie, a stosowany system mrożenia i usprawnień w transporcie morskim umożliwia szybki wzrost produkcji i jej rentowność. Liczy się, że w najbliższych latach pogłowie bydła rogatego osiągnie 50 milionów sztuk, 100 milionów owiec i 100 milionów sztuk trzody chlewnej. Około 85 proc. bydła argentyńskiego jest bydłem rasowym, przy czym przeważają rasy mięsne z rasą Shortorn na czele. Owce przeważnie pochodzą z tych ras, które odznaczają się długością i gęstością wełny, a więc Lincoln, Merinos itp. Wśród świń przeważają rasy: Jersey, Duroc, Yorkshire.

O ile dziedzina produkcji rolnej spoczywa na barkach drobnych dzierżawców rolnych, o tyle w dziedzinie hodowlanej wyłączną domenę działalności objęli wielcy właściciele ziemscy, jako że nie wymaga to w warunkach argentyńskich wiele pracy, a efekty gotówkowe są olbrzymie. W wyniku opieki rządu i intensywnej akcji ekskluzywnych związków hodowców produkcja mięsa, przeznaczonego na eksport wynosiła w roku 1946 — 1.363,000 ton. Ponadto na eksport idą znaczne ilości artykułów pochodnych. Trzeba jednak pamiętać, że ten eksport, — to zaledwie 35 proc. pełnej produkcji krajowej; reszta jest spożywana w kraju. Argentyńczyk bowiem spożywa najwięcej mięsa ze wszystkich ludzi na świecie, bo na głowę rocznie przypada tam po 137 kg. Oczywiście, że równolegle do wysokiej produkcji mięsnej idzie i produkcja skór bydlęcych, która daje rocznie np 8 milionów skór wołowych, 18 milionów sztuk skór owczych. Dalej przy rozwijającym się pogłowiu owiec rośnie rola Argentyny jako najpoważniejszego obok Australii producenta i eksportera wełny, a przemysł mleczarski przerabia coraz więcej serów, masła, i kazeiny. Produkcja sera sięgała 85.000 ton, masła — 46.000 ton, a kazeiny — 32.700 ton.

6) A DYSPONUJĄ „OBCY"

Jasną jest rzeczą, że przy układzie stosunków społeczno-politycznych w Argentynie ten pomyślny obraz produkcji hodowlanej i związanej z nią produkcji przemysłowej nie zmienia w niczym faktu, że Argentyna jest krajem, w którym paradoksy kapitalizmu rysują się z pełną wyrazistością. Z tego, cośmy wyżej powiedzieli, wynika, że produkcja rolnicza nie jest opłacalna i dlatego wielcy właściciele ziemscy zrzucają trud produkcji i jej wyniki na barki proletariatu wiejskiego ograniczając się do ściągania tenuty dzierżawnej tak jak ich koledzy amerykańscy obcinają kupony od akcji różnego rodzaju karteli i trustów, nie trudząc się pracą produktywną. Natomiast hodowla jest wysoce opłacalna w warunkach argentyńskich i stąd bezpośrednie zainteresowanie nią owych górnych „trzech tysięcy". Dywidendy i dochody wpływają tylko do kieszeni wybrańców losu, natomiast 80 proc. ludności nie widzi żadnej poprawy swego losu. Dla świata nie jest obojętne, jak te sprawy kształtują się w Argentynie, ponieważ jest ona jednym z najbogatszych rolniczych krajów na świecie i jest jednym z najpoważniejszych eksporterów płodów rolno-hodowlanych. I dobrze jest przyjrzeć się nawet bardzo odległej Argentynie, aby zorientować się jakie sprężyny pragną kierować polityką aprowizacyjną na świecie i jakim siłom podporządkowują się kraje, które przez bezprogramowość swoich rządów padają na kolana przed dolarem i kapitalizmem, nawet wówczas, kiedy jego dyspozycyjny, cetralny ośrodek znajduje się poza własnym państwem i narodem.

*) T. Orlewicz: „Światowa polityka aprowizacyjna" — Wieś, r. 1947 — Nr 47 (126) i 49—50 (128—129); „Głód na kuli ziemskiej" — Wieś, r. 1948, Nr (133); „Drogi naprawy" — Wieś, r. 1948, Nr 5 (134).

Seweryn Skulski **Ilustr. S. Cieloch**

O B R A Z K I

Mr. Jones

Gdy mr. Jones, późniejszy senator Stanów Zjednoczonych, właściciel The Jones Cotton Mills and Co, prezes The Citizens Bank and Trust Co, prezes Chamber of Commerce (Izby Handlowej), pierwszy obywatel miasta, filantrop, humanista i w ogóle dobroczyńca, był jeszcze w łonie matki, wtedy jego tatuś dbały o przyszłość dziecka, zapisał na jego konto w The Citizens Bank and Trust Co sumę 500 tysięcy dolarów, a drugie tyle ulokował na jego koncie w akcjach Wall Street.

Traf chciał, że na świat przyszedł tęgi i zdrowy chłopiec, późniejszy mr. Jones. Pod troskliwym okiem rodziców, pielęgniarek i służby, chłopiec rósł jak na drożdżach. Nie brakowało mu mleka ptasiego ani pączków w maśle. Któżby mógł mieć to wszystko, jeżeli nie dziecię, którego ojciec był właścicielem tkalni The Jones Cotton Mills and Co, gdzie pracowało jak rok długi kilka tysięcy robotników.

Zaraz w szkole początkowej mały Jones okazał większe od innych zdolności. Mógł gumę naciągać i dawać z niej prztyka w uszy rówieśnikom siedzącym przed sobą. Mógł spychać na łeb tego i owego ze schodów. Nawet mógł być tępy w nauce, bo na tyle nie był głupi, aby nie wiedział, że jest synem Mr. Jonesa.

Mr. Jones, ojciec małego Jonesa, postanowił wychować syna utartym systemem amerykańskich milionerów. Że większość milionerów odziedziczyła po ojcach gotowe fortuny rodzinne, to nie jest ważne dla przeciętnego obywatela amerykańskiego wierzącego w demokrację i równy start życiowy dla wszystkich. On wie i wierzy i to jest ważne, że swoją karierę większość milionerów, gubernatorów stanów, a nawet wielu prezydentów kraju i prezesów banków z Wall Street rozpoczęło od sprzedawania gazet na ulicach miast amerykańskich.

Nie ubliżało to zatem ani małemu Jonesowi, ani jego ojcu, właścicielowi największej tkalni w mieście, że chłopiec z „New York Times", „Morning Telegraph" i „Evening News" biegał ulicami i wywoływał nazwy pism noszonych w dużej torbie przewieszonej przez ramię. Biegał i darł się sposobem chłopców z przedmieścia, którzy to robili dla zdobycia kubka ciepłej kawy i jednej kanapki zwanej — Hat Dogs.

Następnie zdobył kilka dyplomów w średnich i wyższych uczelniach, które w rzeczy samej tak mu były potrzebne jak dziura w moście, chyba jedynie dla towarzyskiego życia i do polityki, albo dla reporterów, gdy w przyszłości zacznie pracować „społecznie". Niech gawiedź obywatelska wie, że i Mr. Jones sroce spod ogona nie wyleciał.

Prawdę powiedziawszy — dyplomy te do osobistego szczęścia nie są mu potrzebne. Dolary na niego pracują. Dolar to jego mózg, siła, wola i spełnienie marzeń

Gdy już młody Jones posiadał dyplomy, podporę przyszłej kariery politycznej — znów musiał od nowa zaczynać szlakiem utartego zwyczaju synów fabrykantów, aby w oczach przeciętnego obywatela a zwłaszcza robotnika zatrudnionego w tkalni The Jones Cotton Mills and Co wyglądało, że przecież i ten właściciel największej tkalni zaczyna od prostego robotnika, brudnej roboty i od centów idzie aż do milionów. Że nie każdy zostaje fabrykantem i milionerem to już wina w tym, iż nie urodził się pod właściwą gwiazdą.

Włożył zatem na siebie młody Mr. Jones zwyczajny robotniczy kombinezon za jednego dolara i 98 centów i począł pracować od rozwiązywania wielkich beli bawełny i tak szedł kolejno od przedziału do przedziału aż skończył na ekspedycji gotowego towaru.

Prawda, że młody Mr. Jones nie pocił się jak inni robotnicy tuż przy nim pracujący, bo nie pracował w celu pocenia się, ale dla zapoznania się z możliwością poganiania tych, którzy już się pocą, kiedy po ojcu obejmie fabrykę.

Po śmierci ojca i po odziedziczeniu fabryki — już głośny z działalności politycznej Mr. Jones, większe od ojca okazał zdolności jako przemysłowiec. Tak zracjonalizował system pracy w swojej tkalni, że połowę zatrudnionych wyrzucił na bruk, a przy pozostałej połowie więcej towaru wyprodukował, co dało mu możność zwycięskiej konkurencji na rynkach zbytu z mniejszymi właścicielami tkalni. Skutek był taki, że Mr Jones w niedługim czasie na murach innych tkalni powywieszał swoje szyldy: The Jones Cotton Mills and Co, bo w Ameryce taki zwyczaj, że choćby mąż i żona, syn i ojciec, ciotka wujkiem byli właścicielami fabryki albo nawet jedna osoba kontrolowała produkcję, to zawsze tytuł firmy kończy się — Co, to znaczy spółka... dla tradycji.

Cóż mogło obchodzić Mr. Jonesa, że tam na przedmieściu z powodu jego zdolności przemysłowych ktoś był głodny, nieodziany i nie miał dachu nad głową? W amerykańskim systemie każdy może swoją własnością rozporządzać jak sam chce, a władza wybierana jest poto, aby strzegła porządku. A zresztą Ameryka to jeszcze nie bolszewicka Rosja, gdzie z głupiej przyczyny czyjegoś głodu mógłby ktoś kogoś interpelować i przeszkadzać w rozwoju przemysłu.

Nie bez powodu „Wall Street Journal" (Przegląd) zauważył w Mr. Jonesie wielkie zdolności i dobrze się o nim kilkakrotnie wypowiedział na swoich łamach, a kogo to pismo Wall Street pochwali, ten ma już zapewnioną i polityczną karierę i przemysłową.

Obywatelstwo całego miasta zwróciło na Mr. Jonesa uwagę. Kolejno zatem przysparzało to tytułów Mr Jonesowi. Został senatorem Stanów Zjednoczonych, pierwszym prezesem The Citizens Bank and Trust Co, drugim prezesem The Saving Bank of Utica, prezesem The Chamber of Commerce (Izby Handlowej), wykonawcą interesów fabrykantów i bankierów

Mr. Jones był w całym mieście pierwszym obywatelem, najwięcej szanowanym i czczonym. W towarzystwie był miłym i szczerym, zabawnym i zawsze naturalnym człowiekiem. Wychodząc z banku czy fabryki nie omieszkał pierwszy powiedzieć „dzień dobry" przechodniom. Nie ubliżało mu to, bo w Ameryce demokracja pozwala przystanąć na ulicy i wymienić kilka słów z tym, który przed jego bankiem zamiata ulicę.

Każdej jesieni odbywały się jakieś wybory w mieście — miejskie, powiatowe, stanowe i krajowe. Obywatelstwo szło gromadnie do lokali wyborczych. Ale kto by tam przeczuwał, że nie obywatelstwo, ale pośrednio dolary Mr. Jonesa decydują, kto będzie szefem policji miejskiej, burmistrzem miasta, sędzią pokoju, senatorem stanowym, jacy ludzie zostaną radnymi miasta.

Mr. Jones był zawsze przyjemnej powierzchowności, grzeczny a przede wszystkim sprawiedliwy. Czy to jakiś strajk w fabrykach, czy strajk farmerów przeciwko kartelom wyzyskującym ich, czy opór obywateli tam na dole miasta przeciwko wysokim podatkom, lub wysokim czynszom za komorne — Mr Jones zawsze wchodził do komitetu dla pertraktacji reprezentując trzecich, to jest najbardziej w takich tarciach poszkodowaną publiczność.

Opinię „publiczności" tworzył zazwyczaj poranny dziennik demokratyczny „The Morning Telegraph" i republikański dziennik „The Evening Press", których właścicielem był Mr. Jones.

Prawda, że były próby robienia innej opinii publiczności, tej na dole miasta. Powstawał „The Liberator" („Wolnościowiec") lub „The Worker" („Robotnik"), ale tej prasie „publiczność" — fabrykanci, bankierzy, handlowcy i sklepikarze nie dawali ogłoszeń więc pisma upadały a panem sytuacji była opinia „publiczności" góry miasta



Opinia „publiczności" Mr. Jonesowego „Porannego Telegramu" i „Wieczornej Prasy" miała wzięcie. Sam papier dany do jednego numeru często czterdziesto-stronicowego kosztował 15 centów, a numer pisma sprzedawało się po 3 centy, a mimo to administracje nigdy nie narzekały na kłopoty finansowe.

To się nazywa służenie „publiczności".

Żona Mr. Jonesa też ciężko pracowała społecznie. Była prezeską towarzystwa walczącego z alkoholizmem Była drugą prezeską Towarzystwa Ratowania Dziewcząt od Upadku. Brała udział w urządzaniu balów dobroczynnych, bo wszakże trzeba kogoś aby siał wiarę w maluczkich, że w ostatniej chwili przed zgonem z głodu, ktoś rzuci kość, choć nie powie jak jutro żyć. Sama własnymi rękami na najbardziej ruchliwej ulicy miasta własnoręcznie rozdawała pamflety opisujące szkodliwość alkoholu i przemawiała na zebraniu o wstrzemięźliwości do żon bankierów, fabrykantów, bogatych sklepikarzy, którzy naprawdę zapomnieli z jaką kobietą ostatnią noc spędzili w hotelu po towarzyskiej bibce.

Prawda, że w fabryce męża Mrs Jonesowej pracuje wiele dziewcząt młodych co po 9 dolarów tygodniowo zarabiają na standart życiowy; prawda, że aby wyżyć winna zarabiać taka dziewczyna po 22 dol tygodniowo. Prawda, że wykonawcy woli Mr Jonesa foremani przeważnie zmuszają do uległości te dziewczęta, bo jeżeli im nie ulegną, to stracą pracę i muszą pójść na ulicę.

Panią Mrs. Jones to nie obchodzi, ona pracuje filantropijnie, a tamto — to prywatny interes.

* * *

„Sen mara, Bóg wiara", powiada ludowe przysłowie. Ale są i sny figlarne i sny które dla ludzi są straszne. Taki właśnie pewnej cichej nocy miał sen Mr Jones. Sen ten spowodował, że Mr Jones i jego żona filantropka popadli w pierwsze stadium rozstroju nerwowego.

Ni stąd ni zowąd zrywa się ze snu Mr Jones i woła zmienionym i strasznym głosem. Zerwała się i Mrs Jonesowa.

— Co ci, kochanie? Co się stało?

Mr. Jones miał oczy wielkie, gębę otwartą i ledwo dychał. Gdy już przyszedł do przytomności i siły, powiedział:

— Kochana moja. Śniło mi się... Dobrze, że tylko się śniło. Śniło mi się, że na moich fabrykach, bankach i na ratuszu miejskim powiewały czerwone sztandary Ludzie cieszyli się, śpiewali, tańczyli, a my? My — ty i ja — mieliśmy iść do roboty.

— O Boże — wrzasnęła Mrs. Jones i padła zemdlona.

Po wyjściu lekarza, oboje się uspokoili, usiedli z wielką ulgą w miękkich fotelach całkiem spokojni, że to był tylko sen.

Młynarz, czyli król niekoronowany

Któregoś pochmurnego, styczniowego dnia, jadę sobie do młyna. Szkapa wlecze ociężale nogami, a ja rozmyślam o chłopskim losie w związku z młynami i młynarzami i sam sobie zadaję pytanie: — jest demokracja, czy nie ma demokracji?

Jeszcze nie odpowiedziałem sobie na to pytanie, kiedy widzę, że nie kto inny, tylko właśnie młynarz jedzie w stronę miasta. Bryczka nowiutka toczy się po szosie gładko i zgrabnie, jak jajko po stole. Szory na szpakach ozdobione różnymi świecidełkami prezentują się wspaniale. Szpaczki, jak ulał, łby niosą górą, poparskują, lecą majestatycznie. Furman siedzący na przedzie, lejce trzyma sztywno. Rzekłbyś — dziedzic wielofolwarczny jedzie a nie młynarz, co rzekomo ma być takim samym człowiekiem, jak każdy z nas.

Jeszcze sobie dokładnie nie zredagowałem pytania: — są reformy społeczne, czy nie ma reform społecznych? a młynarz tuż koło mnie. Nie miałem już czasu na rozmyślanie i decyzje, kto komu pierwszy ma się ukłonić.

Piorunem, prawie zastraszony, chwyciłem całą garścią czapkę na głowie, bo już nie miałem czasu szukać daszka i z całą grzecznością na jaką mnie stać, ukłoniłem się młynarzowi. Zaraz też przekonałem się, że właśnie ukłonić się młynarzowi, to mój moralny obowiązek. Młynarz bokiem ruszył tylko głową, jak cielę ogonem, dając mi znać, że tak być powinno i przejechał.

Ot, masz chłopie reformy! Pamiętaj o tym dobrze i nawet możesz sobie węzełek na lejcach zawiązać, abyś zawsze pamiętał, że chłop jest dla młyna a nie młyn dla chłopa.

Ale jadę do młyna, bo co bachory, baba i ja jeść będziem w chałupie. Prawda, że młynarza nie będzie, ale bieda za to z młynarczykami, przed którymi niemniej pokornie trzeba stanąć i zapytać bardzo grzecznie, nawet prosząco: czy jest mąka i w jakim procencie i czy można znieść zboże, aby raczyli odważyć.

Bo proszę was... o małą uwagę. Gdybyście ludzie, takiej zwykłej świni, zwyczajnej świni we własnym chlewku, dnia każdego nisko i z czułością kłaniali się i dali jej do poznania, że wiele wam zależy na tym, aby jej świńska natura była dla was grzeczna, to zapewnić was mogę, iż zostanie z czasem większą świnią od młynarza.

W zasadzie młynarz świnią nie jest. Większość z nich to ludzie. Ale nie starajcie się przynajmniej tego w chłopa wmówić, iż wszyscy młynarze zaliczają się do rodu ludzkiego. To spekulanci, kombinatorzy, wywodzący się z rodzin szabrowniczych. To klasa, która na skórze społeczeństwa obrasta w puch, póki pora.

Niech was to znów nie boli tak bardzo, iż jeden i drugi młynarz kupił nieostatnią kamieniczkę w mieście, że drugi buduje. A niech ta buduje, my w nich mieszkać będziemy! Bo przecież do cholery ciężkiej, kiedyś go zapytamy, co robił i skąd to wziął. Ale zacznę znowu prawie od początku. Skoro minąłem na szosie młynarza — jedzie z młyna mój sąsiad, Wojciech Paluch, uśmiechnięty, jakby worek szczęścia znalazł na szosie.

— Wojciechu, jest mąka we młynie?

— A jest, jest. Dziś jestem szczęśliwy. Dostałem mąkę i to ładną, bo 55-procentową.

— Prrr — ściągnąłem szkapę lejcami.

— Pokażcie mi jak ta mąka 55-procentowa wygląda?

— Toć mąka. Zacierki będą jak słońce i chlebuś się z niej zje ze smakiem, ale do 55 procentowości jeszcze jej daleko. Ani ta, którą wy Wojciechu, dostaliście, „55-procentowa" nie jest, ani ta, po którą ja jadę nie będzie 70-procentową. Nie przeczę, młynarz ma i 50-procentową, ale waszym i moim kosztem i dzięki spekulacji młynarza, chłopi tej mąki nie jedzą. Jedzą ją nowobogaccy, których stać na taką mąkę.

Znam ich osobiście. W pogodne dnie targowe, stoją na rogach ulic dobrze ubrani a jeszcze lepiej odkarmieni i nawet gdy koń w wozie stojący podniesie w górę kitę i na ulicę opuści... to widzą w tym winę demokracji. A tylko dlatego, że ich jeszcze ta demokracja nie wzięła za hajdawery i nie zmusiła do odpowiedzialności społecznej, choćby w obozie pracy, skąd ludzie ludźmi wychodzą.

— Wio — mówię do szkapy i jadę pod młyn. Pod młynem, jak zwykle chłopstwo, jak na odpuście. Ten i tamten zalatuje młynarczykom drogę, pyta nader grzecznie i uprzejmie czy mąka jest. A trzeba wiedzieć, iż pytanie musi być zredagowane podług woli młynarczyka, zwięźle jak do wysokiego urzędu, bo inaczej z miejsca i z góry na chłopa ryknie.

Nie, oni, nie wiedzą czy mąka jest. Niech chłop nie wie, jest czy nie ma. Niech od dwóch do czterech godzin pod młynem stoi. Niech się dowie, że młyn to coś takiego, co szanować i poważać trzeba.

Tę powagę i dumę widać u młynarczyków na ich twarzach i w ich ruchach. Bez potrzeby przechadzają się pomiędzy chłopami tu i tam. Chłop usuwa się z drogi a oni jeszcze bardziej nadęci. Wiedz chłopie, że masz z młynarzem do czynienia a nie z równym sobie.

Był czas na przyjmowanie zboża, nie przyjmowali. Potem razem jeden odbiera zboże, drugi wydaje mąkę. Jaka mąka jest, chłop nie patrzy i choć widzi oszustwo, nie mówi nic, byle mąkę dostał, bo już cztery godziny pod młynem stoi, on, i koń głodny.

We drzwiach do młyna, przy wadze tłok, jeden drugiemu zawadza. Czasu nie ma. Młynarczyk tylko spuści na wadze podpórkę do odważników i w mgnieniu oka podnosi. Już zważone, nie było korca, pisze kilo, albo dwa mniej, choć chłop serdeczniej w domu ważył niż własnemu ojcu, aby na pewno było te sto kilo.

Przyszła kolej na mnie. Dobrze jeszcze,



jeżeli chłop zjada z dwóch misek zacierki. Mnie zazwyczaj starcza z jednej. Ale co mam robić, biorę korzec na plecy i taszczę na wagę. Ba, ale z wagi trzeba go wynieść po schodach na górę. Była ręczna winda do windowania zboża na górę, ale zepsuta. Młynarz nie kwapi się ją zreperować, bo i po co, czy młynarz co traci, jak chłopska skóra pęka?

Nareszcie i ja miałem „szczęście", bo mi odważono mąkę 70-cio procentową, mało różniąca się od zmiotków spod nóg młynarzów.

Jadę z tą mąką do chałupy i tak sobie rozmyślam. Kiedyż skończy się nareszcie to dziobanie przez młynarzy skóry chłopa. Ja narzekam, inni narzekają, ale naprawdę robi się bardzo mało, aby młyn był dla chłopa, a przestał być kopalnią złota dla młynarza. I cóż z tego, że tam i gdzie indziej pośle się ich kilku do obozu pracy a innych się wyrzuci. Przyjdzie nowy, ale jeszcze nie ze szkoły demokratycznej — z wczorajszej — egoizmu, samolubstwa i spekulacji i dorabiania się na skórze społeczeństwa. Jakiś czas chce dobrze, dopóki go inni młynarze nie nauczą, jak im się klasowego interesu psuć nie powinno. Potem i ten dobry kradnie. Czy nie ma wyjścia? Jest, a jeżeli jeszcze nie ma, musi być. Nie ja będę tylko nad tym filozofował. Niech sobie połamią głowy również w Związku Samopomocy Chłopskiej!

WCZORAJSZY PROLETARIAT

Edmund Niziurski

„Zrywanie z burżuazją"*)



Helena Boguszewska

Myślę, że Boguszewska należy do tych szczęśliwych autorów, których ratuje od „przedawnienia" ów mały realizm, analizowany niedawno na łamach „Kuźnicy" przez Żółkiewskiego. Na pytanie, co pozwoliło autorce stworzyć realistyczną powieść w przedwojennych warunkach, ciekawą odpowiedź można znaleźć w rozważaniach Georga Lukacsa na temat powieści jako mieszczańskiej epopei. Otóż wg. Lucacsa Boguszewska reprezentowałaby ten typ pisarza, który ocala swój realizm powieściowy w **„zrywaniu z burżuazją"**, co otwiera mu nowe perspektywy twórcze.

„Tych Ludzi" charakteryzuje przede wszystkim przeniesienie punktu ciężkości konfliktu powieściowego z tradycyjnych dotychczas w literaturze zmagań jednostki — na zmagania klasy. Na marginesie warto zauważyć, że w odróżnieniu od takiego np. Zoli, który masę ludzką przedstawia zwykle jako twór „sam w sobie", myślący i działający autonomicznie, Boguszewska malując grupę społeczną pozostaje przy charakterystyce jednostek. Lecz nie są to jednostki nieprzeciętne, — indywidualności przeciwstawione społeczeństwu, ale jednostki typowe i powtarzalne, z których każda reprezentuje tysiące podobnie reagujących. W ten pozornie paradoksalny sposób czytelnik mając do czynienia z indywiduami w sumie otrzymuje bardzo żywe wrażenie klasy.

Autorka doprowadziła do perfekcji kreślenie typów ludzi prostych paroma trafnymi określeniami. Praczka Backowska, panna Maria, Karbowiak — człowiek do wszystkiego, szewcy i krawcy podmiejscy, typy służących, tych naiwnych jak Gieńka i tych „lepszych", szanujących się i doświadczonych życiem jak Nowakowa, robotnicy, bezrobotni, dzieci, gołębiarze — cała armia tych swojskich postaci kręci się w powieści i wzrusza nas swymi drobnymi zmartwieniami i radościami. Któż z czytelników nie zetknął się w życiu z taką np. Backowską.

„Backowska lubi się śmiać. Jest niska i tęga. Ma twarz dużą, pełną, nie bardzo pomarszczoną, bezbarwne małe, dobre oczy, zęby tylko dolne. Włosy zielonkawo-siwe jak siano, mocno skręcone w sporą kukiełkę. Nie można na nią patrzeć bez uśmiechu". I zdaje się, że na wszystkie postacie w książce patrzy autorka tym dobrym wyrozumiałym uśmiechem, tak ułatwiającym „mały realizm".

W tej technice ujmuje Boguszewska procesy kształtowania się świadomości i solidarności klasowej, jako funkcji stosunków ekonomicznych i pauperyzacji proletariatu. Rodzina Kaczmarków bierze do siebie „na przetrzymanie" robotnicze dziecko ze Śląska na okres strajku. Procesy te (i książka) znajdują swój finał w dojrzałym już, spontanicznym odruchu świadomości i solidarności klasowej — manifestacji bezrobotnych.

Boguszewska przedstawia warstwy pracujące zróżniczkowane tak w przekroju pionowym (inteligencja, pracownicy fizyczni), jak i poziomym (rzemieślnicy, robotnicy fabryczni, robotnicy niewykwalifikowan jak np. Karbowiak). W celu zanalizowania wzajemnych stosunków między tym co nazywamy inteligencją pracującą a robotnikami Boguszewska wykorzystała frapujący socjologicznie pomysł wrzucenia grupy inteligenckiej w środowisko proletariatu podmiejskiego. Zetknięcie to pozornie przypadkowe (na przedmieściu między „drewniakiem" a „murowanką" wyrasta „dużo jednakowych domków" — osiedle urzędnicze) posiada jednak uzasadnienie w mechanizmie społecznym nieuchronnie zbliżającym obie warstwy społeczne. Bezrobocie godzi nie tylko w robotników, lecz także w doły inteligenckie. Redukcja dotyka nawet, o ironio, personel komitetu pomocy dla bezrobotnych, choć tu nie można się było uskarżać na brak pracy.

Zdeklasowani inteligenci z trudem odnajdują się w nowej sytuacji. Zredukowana Anielcia w dalszym ciągu zbyt wyraźnie wyróżnia siebie spomiędzy „tych ludzi" i nie może pojąć, że defekt kapitalistycznej maszyny gospodarczej pchnął ją w identyczną sytuację z tymi, którym niedawno niosła filantropijną pomoc. Degradacja Anielci jest zato doskonale zauważona w jej byłym środowisku. Dla kolegów biurowych Anielcia nie różni się już od takiej Kwiatkowskiej, czy szewca Pawelskiego. Oni trafnie określili jej obecną przynależność klasową. To odnalezienie się na wspólnej płaszczyźnie niedoli z robotnikami jest zaskakujące dla obu stron. Dotychczas wydawało się, że mało mają ze sobą wspólnego. Inteligenci z osiedla na przedmieściu ze zdumieniem odkrywali tuż pod ręką swojski egzotyzm proletariacki. Ich sposób patrzenia na życie robotników nieco przypominał zainteresowanie Europejczyka murzyńskim tubylcem w Afryce. „Ci ludzie" byli ciekawi. Umieli dużo dziwnych rzeczy. Byli godni współczucia. Lecz jakże bardzo „murzyńscy". Zresztą na usprawiedliwienie inteligentów można powiedzieć, że poczucie egzotyzmu było dwustronne. Początkowo także tubylcy podmiejscy patrzą na intruzów z miasta dość krzywo. „Każdego nowego co nie z nich utopiliby w łyżce wody" — konkluduje swe pierwsze wrażenie służąca Andzia, pierwszy naturalny z racji swego zawodu i pozycji łącznik między obu grupami. Przyczyny? Różne. I te normalne — nieufność do obcej zbiorowości i te specjalne. Pierwsza awantura wybuchła o psa inteligenckiego, który gonił rzemieślniczą kurę. „Co innego, żeby to był pies polowy. Ale taki, żeby tylko zbytkował i żarł..., człowiek by się tym przekarmił, co taki zje" — tak usprawiedliwia gniew Kaczmarków bezstronny arbiter — Backowska. Obcość między tymi sąsiadami z musu pogłębia się proporcjonalnie do różnic gospodarczych. Porównajmy np. niechętny stosunek Kaczmarkowej do inteligentów w okresie bezrobocia i jej życzliwość, gdy mąż otrzymał pracę. Praca nadaje klasie robotniczej poczucie godności i własnej pełnowartości społecznej. Z drugiej strony inteligenci nie mogą się zdobyć na szczere nawiązanie stosunków sąsiedzkich, choć nie brak im ku temu chęci. Względem tych prostych ludzi odczuwają jakieś zawstydzenie. Jest to jakby podświadome uczucie niesprawiedliwości społecznej, czy może solidarnej odpowiedzialności z grupą kierowniczą za krzywdy maluczkich — przy jednoczesnym zauważeniu niepełnowartości własnej w tylu różnych dziedzinach życia, gdzie „ci ludzie" poruszają się tak sprawnie. Dlatego inteligenci zazdroszczą Karbowiakowi umiejętności sadzenia drzewek, ba, zazdroszczą nawet.. gołębiarzom. Świadomi przewagi w tych sprawach „ci ludzie" nawzajem z satysfakcją akcentują swoją wyższość, a nawet czynią inteligentów przedmiotem maleńkich kawałów.

Filantropijny stosunek do proletariatu, mający mimo prostoty panny Anielci zawsze coś z łaski pańskiej, wcale oczywiście nie pomaga w zbliżeniu obu grup. Tylko dzieci szybko dochodzą do porozumienia. Łączy je wspólna zabawa, tak jak starszych mogłaby połączyć wspólna praca, tak jak wkrótce połączy wspólna niedola. Wtedy okaże się, że kapitalizm też potrafi równać. Niestety, tym razem będzie to równanie w dół.

Pierwszy etap Lukacsowej drogi „odwalony". A co dalej?

Helena Boguszewska: Ci Ludzie. Gebethner i Wolff, Warszawa 1946.

Jerzy Falenciak

„Staczali się coraz niżej"*)

To, co Żółkiewski nazwał drobnym czy małym realizmem, jest rodzajem literatury, w której powieść Dąbrowskiego mieści się w sam raz. Napisana jeszcze przed wojną ukazała się najpierw w odcinku ówczesnego socjalistycznego „Dziennika Ludowego" w 1937 r. W swym „małym realizmie" była protestem przeciwko stabilizmowi zapatrywań i poglądów mieszczańskiej inteligencji na procesy społecznego wykolejania się i upadku wielu jednostek spośród miejskiego proletariatu. Stanowiła więc przez to jakby „odpowiedź Wiechowi", z jego bohaterami dyskutującymi beztrosko na temat zalet żelaznego piecca w „Cyrku" na Dzielnej ulicy, w którym nie trudno upiec indyka nadziewanego kasztanami albo gęś z jabłkami (tak!)

Każdy wtedy budował i buduje dziś jeszcze swą wiedzę o „warszawskich rodakach" i o proporcjach socjalnych między nimi na podstawie komicznej i abstrakcyjnej dokumentaryzacji wielkiego artysty Wiecha. I to jest ogromne nieporozumienie, polegające na błędzie takim samym jak np. błąd tych, którzy na podstawie komedyj Plauta pragną sobie odtworzyć obraz społeczny mas ludowych miasta Rzymu mniej więcej z końca Republiki. Świat ludzi „Miejsca pod niebem" to wcale nie skamieniałość, widziana z mieszczańska po wiechowsku, lecz ciągły rozwój w dół.

Rzecz cała dzieje się w Warszawie w czasie kryzysu na przełomie dwudziestych i trzydziestych lat. Bezrobotny inteligent Stefan Lermond „stacza się coraz niżej", wpada w najgorsze towarzystwo, po prostu z braku mieszkania i zatrudnienia, w czasie nocy spędzonych na dworcach i skwerkach. Środowisko to, w nim wszyscy upadli ludzie ale każdy w inny sposób, chociaż zawsze z jednego i tego samego powodu — nędzy, widzi w Stefanie „inteligenciaka". Na ogół ta właściwość ułatwia mu wegetację w grupie, bez której — co doświadczył — byłby zupełnie bez rady i pomocy zachowując poczucie nie tylko upadku i wykolejenia, ale także deklasacji. A tak czuje w sobie wyższość inteligenta w toku wykolejania się w stopniu wyższym, niż czułby ją tkwiąc w społeczeństwie legalnie postępującym. Zupełnie coś podobnego do świadomości doktora filozofii, przyjmującego posadę nauczyciela szkoły powszechnej na zapadłej wsi. W jednym bowiem i drugim przypadku brakuje konkurentów w roztaczaniu uroku towarzyskiej atrakcyjności.



Jan Dąbrowski

foto Żychliński

Powieść Dąbrowskiego wykazuje najdobitniejszymi przykładami, że świat wykolejonych ludzi, to wcale nie „margines społeczeństwa" lecz fragment proletariackich mas, oderwany od produkcji wykonywanej na sposób kapitalistyczny. O upadku życiowym i społecznym jednostki nie przesądza więc i nie świadczy bynajmniej przestawanie z „podejrzanymi elementami", pierwsze przytrzymanie przez policję, pierwsze wylegitymowanie nocą, przespanie się po raz pierwszy na skwerku lub na ławce w Alejach, pierwsza kradzież lub szalbierstwo, pierwsze rozmowy z prostytutką, w parytecie równy z równym przyjazne porozumienie z napotkanym włóczęgą albo złodziejem.

Trudno zliczyć wszystkie postacie „Miejsca pod niebem", jest ich wiele. Byli robotnicy, byli urzędnicy, byłe służące (99,9 problemu warszawskiej prostytucji), para kochanków (on chłop i robotnik po połowie, ona piękność wiejska) wykolejonych pożyciem „na wiarę", Żyd Szulim „Sucha Nóżka", mądry po rabinacku, poważny abnegat (co z plemienną solidarnością żydostwa?!) — wyrwani przez wszechmocną nędzę z Woli, Mokotowa, z Nalewek czy Muranowa. Ich domy i przytułki — to śmietnisko w bok Szmulowizny albo hotel „Pod cegiełkami", wygasły piec nieprodukującej cegielni, wagony kolejowe na bocznych torach albo wprost goła ziemia w zakątkach pogmatwanej zabudowy dworców. W chwilowych przyjaznych okolicznościach — krótkie pobyty na sublokatorskich kątach w „pekinie" lub w „meblaku" gdzieś na Sierakowskiej ulicy.

W końcu Stefan i Szulim „łapią szansę". Cegielnię, w której nocuje około setki nędzarzy, postanowiono uruchomić. Policja rozpędza zadomowionych pensjonariuszy „Cegiełek", a jedynie ci dwaj godzą się do roboty, na strycharzy. Sprawa toczy się typowo. Do jawnego wyzysku, uprawianego przez kierownictwo cegielni, wtrąca się Związek Zawodowy robotników budowlanych. Zamieszki, masówka, policja, Stefan przemawia do towarzyszy, za co go aresztują. Odnajduje w sobie nowego człowieka, tylko że z nowym przydziałem „miejsca pod niebem" — w więzieniu za komunizm, jak to się wtedy mówiło.

Metoda „drobnego realizmu" — można ją nazwać formą, ale to mniej ściśle — jest dość bliska temu, co w nauce określa się metodą socjologiczną. Wydaje się przy tym, że najważniejszą pobudkę twórczości przedstawicieli „małego realizmu" stanowi troska o zachowanie tematu, obawa żeby temat nie przepadł. A to pragnienie i ta troska zbliża ich emocje twórcze raczej do przeżyć uczonego, niż artysty.

---

*) Jan Dąbrowski: Miejsce pod niebem. Warszawa, 1947, Spółdz. Wyd. „Wiedza".

Maciej Czuła

Wszystko zawdzięczałem „sobie"



Maciej Czuła

Niezmiernie trudno jest pisarzowi i społeczeństwu starszego pokolenia ze wsi pochodzącego, przypomnieć sobie lekturę z lat dziecinnych i młodzieńczych, w której się rozczytywał. Nie dlatego, żeby go zawodziła pamięć, choć i ta się z biegiem lat zatraca, ale po prostu dlatego, że na wsi trudno było wtedy o książkę a nawet gazetę, i że tę jakąś „Gazetkę" czytywało najwyżej 2—3 chłopów we wsi, strzegąc zazdrośnie swego skarbu przed niepoważnymi, a chciwymi na czytanie intruzami. — Gdy się nawet dziecku chłopskiemu udało ocierać o dwór, plebanię i organistę, czyli w owych czasach — arystokrację wiejską, to i tak od niej nic nie skorzystało. We dworach czytano przeważnie bezwartościowe romanse francuskie, u księdza była nieraz mała biblioteczka z książkami religijnymi i kazaniami, a organista trzymał u siebie trochę nut i jakiś kalendarz. — Ale i ci choćby nawet mieli coś stosownego dla chłopa do czytania niekwapliwie dziecku chłopskiemu wypożyczali.

Jeszcze, gdy chłopak wiejski, żądny nauki, miał bogatych rodziców, którzy oceniali jego zamiłowania, kupili mu czasem coś pożytecznego do czytania. Ale syn biedaka mógł tylko wzdychać do książki, zbierać koło dworu czy plebanii trochę potarganych i zniszczonych okrawków jakiejś powieści, czy dzieła i tym się kształcić. Niektórzy zdolni synowie chłopscy np. Bojko, czy Witos — mieli grunt, a ożeniwszy się bogato i osiedliwszy na stałe na roli mieli możność rozwijać dalej swój talent i czytać wszystko co pragnęli. Ale biedny, względnie bezrolny chłopak stał się niedługo robotnikiem, zarabiającym we dworze 30 centów lub przy budowie obwałowań Wisły 50 centów dziennie, które przejadał i jeszcze mu na kupno koszuli brakło, skądże zatem mógł zakupywać książki, kiedy był nieraz głodny?

Gdy w roku 1896 zaprowadzono w Galicji pierwsze szkoły, a słończykowskie „Towarzystwo Oświaty Ludowej" poumieszczało na wsiach małe biblioteczki, w których znaleźć można było słabiutkie jedynie opowiadania i powiastki z życia ludu, albo religijne czytanki, niewiele się na lepsze zmieniło, bo były to książki, które częściej lud tumaniły, niż go oświecały.

Kościół zaś zasypywał wieś jedynie „Intencjami Apostolstwa", modlitwami, których większa część poświęcona była podziękowaniom za cuda i łaski od Boga czy Matki Boskiej otrzymane za grube ofiary na kościoły i ołtarze. To też przyznam się szczerze, że choć całą biblioteczkę i wszystkie „Intencje" przeczytałem, nie wiele mi z tego w głowie zostało. Intuicyjnie wyczuwałem, co mi jest do mojego samokształcenia potrzebne i wolałem szukać jednej dobrej książki, niż sterczeć nad 10-ma lichej treści.— Coś jednak i ze złej biblioteczki udało mi się wyłowić lepszego a były to książki: „Stara Baśń" Kraszewskiego i „Obrona Częstochowy", „Pan Tadeusz" Mickiewicza, „Olbrachtowi Rycerze" Kaczkowskiego oraz „Mała Historia Polski" z ilustracjami Eliasza Radzikowskiego. Bardzo interesowała mnie pierwsza książka, bo kształtowały się w niej pierwsze zarysy życia w niezmierzonych lasach i borach mocnego słowiańskiego polskiego szczepu, czyli bajeczne dzieje Polski. W „Obronie Częstochowy" przeżywałem razem z bohaterami tytaniczne wysiłki garstki bohaterskich obrońców, nie oddanie Szwedom forteczki Jasnogórskiej, zaś w „Panu Tadeuszu" zachwycały mnie przepiękne opisy litewskiej przyrody, tajemnicza postać Robaka-Soplicy, wyprawa Napoleona na Rosję, a z nim wojska polskiego, wreszcie odwieczny flirt mężczyzny z kobietą uwidoczniony w Telimenie, Zosi i Tadeuszu. Wszystkie zresztą opisy są tu po mistrzowsku kreślone — to też „Pana Tadeusza" czytałem kilka razy, choć przecie jest to tylko „historia szlachecka", która żadnego bodźca do czynu chłopakowi wiejskiemu nie daje. — „Olbrachtowi Rycerze" są powieścią historyczną z czasów wojen polsko-tureckich, i kto wie czy Sienkiewicz w swoich tego samego typu powieściach nie wzorował się na niej. „Mała Historia Polski" była bardzo słabo napisana, to

(Dalszy ciąg na str. 12)

FAKTY I ZDANIA

Płoną nowe „Wici"

Ostatnie wydarzenia na odcinku ruchu wiciowego nastrajają optymistycznie. Wydaje się, że ZMW „Wici" usuwa systematycznie resztki starej, tradycyjnej ideologii i co więcej jest na dobrej drodze do wypracowania nowego programu społeczno - wychowawczego.

Spostrzeżenia te uzasadnia lektura pism wiciowych, szczególnie — „Wiciowej Wolnej Gromady".

Nie tak dawno rozprawiał się na łamach tego pisma — Tadeusz Żochowski z agraryzmem. W ostatnich numerach „Wolnej Wiciowej Gromady" znajdujemy szereg artykułów wskazujących wiciarzom konkretne zadania społeczne w nowym państwie ludowym. Zespół „Wolnej Wiciowej Gromady" określa swoją rolę w ruchu wiciowym bardzo wyraźnie: „Naczelnym zadaniem młodzieżowych organizacji ideowo-wychowawczych jest mobilizacja młodzieży do aktywnego uczestniczenia w planie odbudowy i rozbudowy gospodarczej kraju. Na nasz Związek spadają te zadania i obowiązki specjalnie wielkiego znaczenia. Oto terenem naszej działalności jest główny rezerwuar przyszłych budowniczych naszych fabryk, hut, miast, osiedli, szos, dróg kolejowych..."

Za „Wolną Wiciową Gromadą" — reprezentującą to skrzydło wiciarzy, którzy jako pierwsi rozpoczęli walkę z resztkami starej ideologii — nadążają „Wici" — organ naczelny Związku.

I tu znajdzie czytelnik szereg artykułów przesuwających młodzież wiciową od nieokreślonych, mglistych założeń wychowawczych w stronę konkretnych zadań społecznych, jakie stanęły dzisiaj przed wsią polską.

Zapłonęły więc nowe „Wici", chociaż?

W numerze 9 „Wici" czytamy jak to w Skoczykłodach na powojennych ugorach zapłonęły „Wici"... „od czasu do czasu rozbrzmiewała pieśń już nie ta brukowa i pijana, jeno rzeźwa i swojska, serdeczna i jakąś krzepę duchową dająca, hej!"

Wydaje się jednak, że jest to słabnące echo dawnych „Wici".

Przemianom w prasie wiciowej towarzyszy szereg innych wydarzeń.

Konferencja ideologiczna odbyta w dniach 26—29 lutego w Dębowej Górze była właśnie ostateczną i generalną rewizją dotychczasowych założeń społeczno - wychowawczych „Wici", zapoczątkowaną już wcześniej w prasie wiciowej.

Wygłoszone tam referaty Stefana Ignara („Rola „Wici" w gospodarczej przebudowie Polski"), Mieczysława Grada („Wiciowe zadania i metody wychowawcze") można określić jako ostateczną rozprawę z agrarystycznym światopoglądem i personalistycznym wychowaniem obowiązującymi w przedwojennym ruchu wiciowym i przedłużającymi się także w zmienionych powojennych warunkach społeczno-kulturalnych, politycznych i gospodarczych.

Obydwa referaty wskazywały na konieczność całkowitego włączenia młodzieży wiciowej w odbudowę gospodarczą Polski, poprzez inne już — społeczne działanie wychowawcze.

Referat J. A. Króla („Wici" w przebudowie kultury narodowej") wykazał z jednej strony, że ideologia wiciowa była dotąd lamusem w którym gromadziły się treści z różnych przestarzałych systemów filozoficznych i społeczno-wychowawczych, z drugiej ukazał nowe, wynikające ze zmienionego ustroju Polski Ludowej — zadania dla wiciarzy.

W najbliższym czasie przedstawi Zarząd Główny ZMW „Wici" projekt nowej deklaracji ideowo-programowej. Zaznaczą się w nim zapewne decydująco wszystkie dotychczasowe osiągnięcia w walce z ideologią starych „Wici".

Wydaje się, że dopiero teraz, w ścisłym związku z resztą zorganizowanej młodzieży demokratycznej i w oparciu o konkretne zadania społeczne, będą mogły „Wici" istotnie „Polskę pięknić i uładzać do niebieskich pował".

Piotr Pigwa

Oto „wódz"

„Rycerz Niepokalanej" (Nr 3) donosi:

„Pius XII w czasie wojny bronił sprawy Polski, tak, że w nim „mieliśmy — jak powiada biskup Gawlina — jednego wielkiego przyjaciela i pomocnika".

„...ufajmy całkowicie sternikowi łodzi Piotrowej, kochajmy czciciela Niepokalanej i przyjaciela Polaków, idźmy posłusznie za głosem swego Wodza".

Czy mamy wygrać na tym tyle, ileśmy zyskali w czasie wojny, to jest kiedy Pius XII był „jednym wielkim przyjacielem, pomocnikiem Polski" i „obrońcą" jej spraw na terenie międzynarodowym? Polityka Piłata umywania rąk święciła nieraz swoje gorzkie triumfy, po co jednak, korzystając z wolności prasy w demokratycznej Polsce, przekręcać fakty, Rycerzu, i obiecywać nam drugą figę, tym razem na czasy „pokoju zbrojnego"?

Figi nikt w Polsce nie chciał w okresie okupacji, nie chce oczywiście i teraz.

Korespondent

Krokodyle łzy

Kryzys rządowy w Czechosłowacji rozegrał się właściwie na płaszczyźnie walki o system społeczno - gospodarczy. Przegraną czeskich „marshallowców" prasa anglo-amerykańska opatrzyła wyrazami współczucia rzekomo pod adresem całego narodu, że znów jeden z krajów europejskich wypadł z „rodziny demokratycznej", że traci suwerenność narodową, że zrywa z kulturą zachodnią itd. itd.

Prasa ta potokiem tego rodzaju kondolencyjnych frazesów zaciąga zasłonę dymną na podłoże kryzysu rządowego w Pradze, pragnie zatrzeć nieudaną próbę włączenia Czechosłowacji w system Marshalla, to znaczy w system eksploatacyjny gospodarki kapitalistycznej z ośrodkiem dyspozycyjnym w Stanach Zjednoczonych.

Anglosascy kapitaliści tracąc szansę na penetrację gospodarczą jeszcze w jednym kraju europejskim, który od dwóch lat uwodzili epitetami demokratycznymi, każą obecnie swoim „kolumnistom" wyrażać współczucie robotnikom czeskim, że pozostali głusi na syrenie głosy „demokratów zachodnich", że nie wykazali ochoty oddania się na pożarcie marshallowskiemu krokodylowi. Robotnik czeski wolał czerpać jednak informacje o intencjach inspiratorów planu Marshalla wprost ze źródła, nie uszło jego uwagi oświadczenie Mac Kittwick'a, wiceprezesa Chaze National Bank, który na kongresie handlu zagranicznego w St. Luis wywodził, że jednym z warunków odbudowy Europy jest istnienie **„płac dostatecznie niskich, ażeby zapewnić przedsiębiorcy zysk, który będzie dlań stanowić bodziec do produkcji".** (Cytujemy za Witoldem Lazarskim: „Francja pod „opieką" Stanów Zjednoczonych" Nowe Drogi Nr 7).

Anglosaski kapitał finansowy, by przystąpić do odbudowy Europy musi mieć zagwarantowane „odpowiednie bodźce". Nie dostarczy mu ich obecny ludowo-demokratyczny rząd Czechosłowacji — stąd krokodyle łzy.

M. Koliba

Wszystko zawdzięczałem „sobie"

(Dokończenie ze str 11)

też nie wiele z niej skorzystałem, dopiero, gdy udało mi się przeczytać „Wieczory pod Lipą" i „Historię Polski w 24 obrazkach" Anczyca, zdawało mi się, że znam historię Polski trochę lepiej. Ale otworzyły mi się oczy dopiero przy czytaniu prawdziwej literatury, jak „Przygody Robinsona Kruzoe", „Tajemnicza Wyspa" — Verne'a oraz przy czytaniu „Trylogii" i „Quo vadis" Sienkiewicza. Wstępowałem wtedy razem z bohaterami powieści w inny, jakby nieziemski świat. Cieszyłem się niezmiernie ze zwycięstwa człowieka nad przyrodą i przeciwnościami losu, i dochodziłem do przekonania, że silny, mądry i sprytny człowiek potrafi ujarzmić wszystko, co się koło niego znajduje.

Takim silnym niezwyciężonym człowiekiem marzyłem być przez całe moje życie, chociaż nie wiele z tych życzeń się spełniło. Pomocy od starszych, rodziny czy przyjaciół nie miałem żadnej. Nikt się mną nie interesował, ani nie wskazał, jak się kształcić, co czytać, czego się uczyć... Ojciec zalecał mi do czytania jedynie pobożne książki, sprzedawane w zakrystii lub pod kościołem, na odpustach lub jarmarkach, a matka była zadowolona, gdym wysylabizował „Intencje Apostolstwa". Oczywiście, że później, gdy stałem się dojrzalszym i wyruszyłem w świat za chlebem, dobierałem sobie do czytania odpowiednie do mojego wieku i moich pragnień dokształcające mnie książki, celniejsze dzieła światowych autorów i wzbogacałem coraz pełniejszymi wiadomościami mego ubogiego w wiedzę ducha. Ale wszystko przekreślała co pewien czas szara koszmarna rzeczywistość, brak pracy i chleba i trzeba było znowu wszystko zaczynać na nowo. Dokonałem jednak, czego pragnąłem. Nie zostałem wiejskim pariasem, nędzarzem czy fornalem, ale zdobyłem poczesne w społeczeństwie miejsce, a poniekąd i szacunek ludzi. Jako działacz społeczny i instruktor Kółek Rolniczych przemierzyłem z moimi wykładami prawie całą Małopolskę, a jako pisarz chłopski napisałem w ciągu 40 lat, bo od r. 1907 — setki artykułów społecznych, poetycznych i gospodarczych oraz 12 opowiadań wojennych z I-ej Wojny Światowej w różnych pismach, z których byłaby ładna książka.

W moim położeniu, w którym zdany byłem na własne jedynie siły, nie mogłem sobie w dziecinnych latach wybierać zawodu, albo naśladować takiego czy innego bohatera z przeczytanej książki. Moje życie podobne było częściowo do życia trampów amerykańskich z powieści Londona, w miniaturze może do życia Robinsona Kruzoe, a czasem i do szarpania się lwa w klatce. Wszystko, co zdobyłem z moimi 4 kl. szkoły ludowej, zawdzięczam jedynie sobie, choć czasem i obcy szlachetni ludzie pomogli mi dużo. Przy ich pomocy udało mi się zdobyć pracę w redakcjach pism ludowych i wybić sobie okno na świat i oni czasem, gdy już napisałem — nie dawali mi zginąć.

Gdy kiedyś wyjdą moje pamiętniki (a napisane i ofiarowywane wydawnictwom) obrazujące życie chłopów i moje własne w ostatnich 50 latach, czytelnik przekona się z nich, że wówczas przyświecała nam wiara, że z najcięższych nawał, przeżyć można wyjść zwycięsko, jeśli się ma wiarę w siebie i los się uśmiechnie do człowieka. Tylko dla nielicznych wiara ta okazała się nie fałszywa.

Maciej Czuła

Redaktor naczelny — **Jan Aleksander Król.**

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.

Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.

Ceny ogłoszeń: kolumna 60.000 zł; 1/2 kolumny 30.000 zł; 1/4 kolumny 15.000 zł; 1/8 kolumny 8.000 zł;

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-98.

Warunki prenumeraty: miesięcznie 60.— zł., kwartalnie 180.— zł. półrocznie 360.— zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII — 1080.

Odbito w drukarni Sp. Wyd. „Czytelnik" Nr 4 — Łódź, Żwirki 2. D—018450

Ameryka i my

Jedna z amerykańskich firm samochodowych, nie dawno zamieściła w tamtejszych dziennikach takie ogłoszenie: „Auto. które my oferujemy, nie jest bynajmniej koniecznością. Nasze auto jest największym luksusem (zbytkiem) dla tych, co lubią się otaczać najwyższymi dobrami świata". Najniższa cena tego auta wynosi 14.000 dolarów, — ile na nasze pieniądze, według kursu dolara wynosi obliczcie sami...

Bagatela! Auto za 14 tysięcy dolarów! I nie myślcie bynajmniej Szanowni Czytelnicy, że tylko jedno takie auto zrobiono na pokaz, nie, takich aut są już setki, a może i tysiące! Aż dziw, że na taki zbytek ludzie sobie pozwalają.

Może mi ktoś zarzucić, że co mnie tak głowa boli, co się robi w Ameryce. ale widać z tego, że stać Amerykanów na tak drogie auta, skoro je fabrykują.

Stać i nie stać. Otóż właśnie i Amerykanów na taki zbytek nie stać. Pismo „America" wychodzące w Nowym Jorku ostro ten nierozumny zbytek piętnuje i twierdzi, że w taki sposób mogą wyrzucać pieniądze tylko chyba dorobkiewicze — nowobogaccy, którzy do wielkiego majątku przyszli w sposób nieuczciwy. w krótkim czasie i bez trudu, bo gdyby na ten majątek ciężko pracowali, toby go inaczej szanowali. I przypomina dalej ta gazeta, żeby nie zapominali, że w tej samej Ameryce, gdzie takie auta kupują, jest kilka milionów ludzi bez pracy, bez chleba i w naj. większej nędzy. którzy z zazdrością i nienawiścią patrzą na tych, co setki tysięcy na cacka wyrzucają.

Prawda, że chociaż nam w Polsce jeszcze bardzo daleko do majątku i zbytku amerykańskiego, to jednak tak wśród sfer zamożniejszych, jak też i mniej zamożnych, a nawet biednych, jest dużo rozrzutności i zbytku. Każdy z Czytelników mógłby to twierdzenie potwierdzić wieloma przykładami.

Za przykładem bogaczów. mówimy często, jeżeli nie słowami, to uczynkami: „Wolno mi, mój majątek, mogę nawet do błota rzucić, albo w wódce utopić gdy mi się to spodoba. bo jest moim i wara, żeby mi się ktoś do tego wtrącał".

Stanisław Jucha-Śnieżyński

Na marginesie „Trizonii"

„W książce pt. **„The Worlds Crisis"** opowiada p. Winston Churchill... że podczas *obiadu z Lloyd Georgem w dniu* zawieszenia broni **zastanawiano się jedynie nad tym, w jaki sposób pomóc Niemcom...**"

A teraz posłuchajcie:

„...Wielka Brytania nie przestała być wyspą, której bronią fale mórz. Dlatego też sądzi ona, że powinna wzniecać **stałe zarzewie sporów na kontynencie, aby zapewnić spokój swym zaborom...**

...Losy są, zdaje się, już rzucone. Oto zachłanna Ameryka uparła się składać nam wizyty o wybitnie handlowych celach. **Dadzą się one bardziej we znaki Wielkiej Brytanii niż sądzą jej polityczni geniusze najnowszego pokroju...**

...Niebawem państwa w Europie, lub też europejskiej formacji, posiadając własne rządy, rozpoczęły normalne życie. Wówczas doniedawna pokonany wróg przeistoczył się raptem w zwycięzcę i śmiało spoglądał na zbrodnie, stwierdzone własnoręcznym podpisem. Pozwalał sobie nawet w nadmiarze bezczelności, domagać się rachunku od tych, którzy ukrócili jego przewrotność..."

To nie jest analiza stosunków dzisiejszej Europy. Czy znaki zapytania, które stawiał Clemenceau („Blaski i nędze zwycięstwa") w trosce o zachowanie imperialistycznej pozycji Francji, nie są już dziś aktualne? Konferencja ministrów spraw zagranicznych państw zachodnich w Londynie i usiłowania spłodzenia „Trizonii" świadczą o tym, że te same siły, które dawniej pomagały w odbudowie niemieckiego imperializmu, działają dzisiaj ze zdwojoną energią.

Tym razem jednak pocieszające ale: w Berlinie stoi armia czerwona. Armia największego państwa świata, świata pracy. Ten fakt ma nowe w historii Europy znaczenie. Nie byłby z tego zadowolony imperialista Clemenceau, jak nie jest zadowolony de Gaulle ani stary Churchill. Ale to tym lepiej.

Jan Lektor

Znawcy prawa

Ostatnio trybunał norymberski ogłosił wyrok, w którym rozgrzesza generałów niemieckich za popełnione zbrodnie na ludności cywilnej i partyzantach w krajach okupowanych. Według interpretacji amerykańskich sędziów generałowie niemieccy mieli prawo rozstrzeliwania partyzantów dla „zachowania spokoju i porządku społecznego". Partyzanci nie mogą liczyć na poparcie międzynarodowego prawa, ponieważ nie stanowili regularnych sił, byli jedynie zwykłymi bandami.

Bravo, bravissimo! Nareszcie jaśniejszy promyk w zabagnionej sprawie tzw. prawa międzynarodowego. Niech żyje agresja! Niech żyje imperializm! Niech żyje... ale, cyt...

A tak mówiliście źle o nauce amerykańskiej...

zet